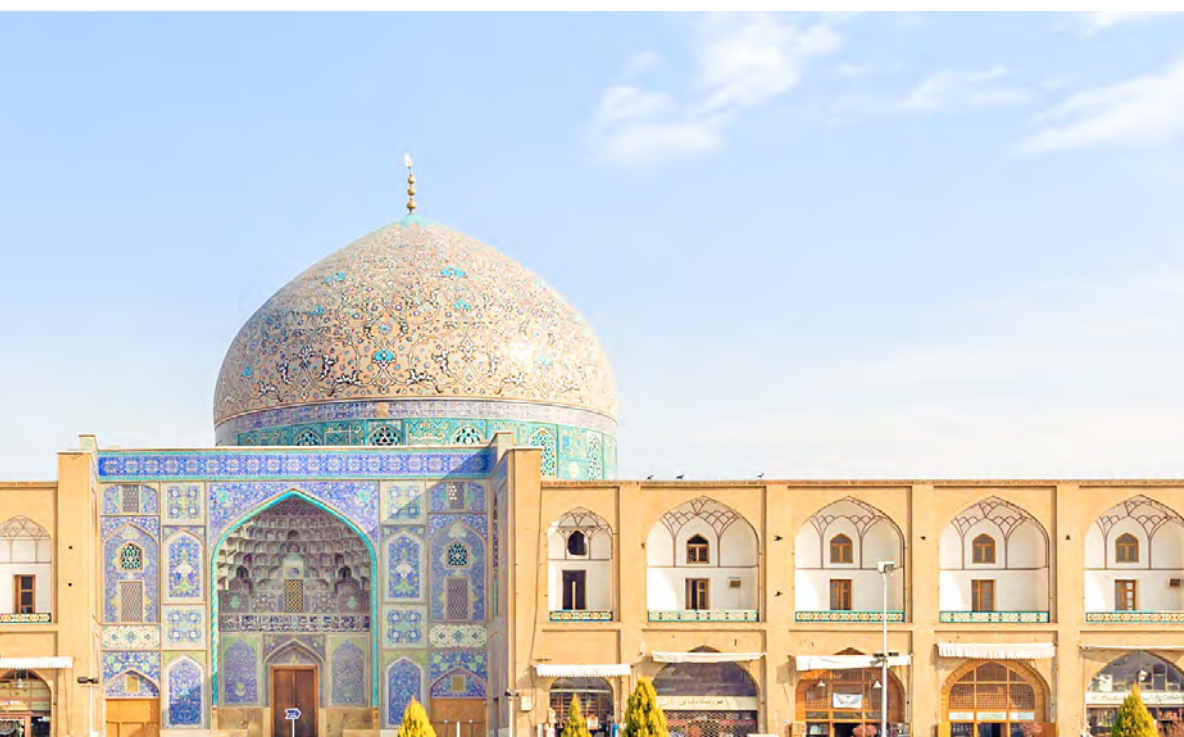




WSPOMNIENIA Z ARCHANGIELSKIEJ TAJGI, KAZACHSTANU I IRANU

———— **KAZIMIERZ BACHMIŃSKI** ————



**WSPOMNIENIA
Z ARCHANGIELSKIEJ TAJGI,
KAZACHSTANU I IRANU**

———— KAZIMIERZ BACHMIŃSKI ————

WROCŁAW 2021

Poświęcam pamięci mojego Ojca, który nie przeżył zesłania oraz dedykuję Synowi i Wnukom, by zachowali w pamięci tę smutną opowieść rodzinną.

Składam szczególne podziękowanie mojemu wnukowi Łukaszowi za duże zaangażowanie w prace związane z komponowaniem układu tekstu, doborem zdjęć i map oraz przygotowaniem Wspomnień do druku.



WSTĘP

Od 1936 roku do wybuchu wojny mieszkałem wraz z rodziną w Wołkowysku, powiatowym mieście w woj. białostockim. 19 września 1939 roku Wołkowysk znalazł się pod okupacją sowiecką. 10 lutego 1940 roku moja rodzina została wywieziona przez władze sowieckie do obwodu archangielskiego, w okolice Morza Białego. *Wspomnienia* w pierwszej wersji napisałem w roku 2015. Niniejsze drugie wydanie *Wspomnień*, nieco rozszerzone i poprawione, zostało zredagowane w latach 2019-2021.

Zamieszczone przeze mnie dane statystyczne oraz inne informacje dotyczące deportacji pochodzą w znacznej części z tomu XIV serii *Indeks Represjonowanych* wydawnictwa Instytutu Pamięci Narodowej pod redakcją Ewy Rybarskiej pt. *Deportowani w obwodzie archangielskim, część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*. W wykazie tym znajduje się 85 nazwisk osób wywiezionych do osady Szombozero, to jest do miejsca naszej deportacji, w tym na stronie 103 zamieszczono dane dotyczące członków mojej rodziny. W wykazie są również informacje dotyczące kilku osób aresztowanych w miejscu naszej zsyłki jak również skazanych przez sąd za działalność przeciwko władzy sowieckiej. Korzystałem również z opracowania Instytutu Pamięci Narodowej pt. *Deportacje obywateli polskich z*

Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w 1940 roku.

Walerian Wysocki, który był wywieziony przez władze sowieckie 10 lutego 1940 roku transportem z Wołkowyska do osady Szombozero i był naszym towarzyszem na zesłaniu, opisał swoje przeżycia w wydanej w formie skryptowej retrospekcji pt. *Wspomnienia z lat 1940–1944. W tajdze i na stepach*. Pisząc moje *Wspomnienia* miałem możliwość porównać to co zapamiętałem, z tym, co napisał Walerian Wysocki.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Moja rodzina i moje miasto

Urodziłem się w 1928 roku w Klonowie, w pow. kieleckim, gdzie Ojciec pracował na stanowisku leśniczego Lasów Państwowych. Od 1930 do 1934 roku mieszkaliśmy na wschodzie Polski w pow. Kosów Poleski, gdzie Ojciec otrzymał stanowisko nadleśniczego. W 1935 roku Ojciec został przeniesiony do Białowieży i tam podjął pracę w Dyrekcji Lasów Państwowych, a z kolei pod koniec 1936 roku przenieśliśmy się do Wołkowyska w woj. białostockim, gdzie Ojciec otrzymał posadę leśniczego. Rodzina nasza była pięcioosobowa. Mama była z zawodu nauczycielką, ale od 1930 roku nie pracowała w swoim zawodzie w związku z zaangażowaniem w wychowanie trójki dzieci. Miałem brata Zbyszka, o półtora roku ode mnie starszego oraz siostrę Hanię, o sześć lat ode mnie młodszą. Do pierwszej klasy szkoły powszechnej zacząłem uczęszczać w 1935 roku w Białowieży, a następnie w latach 1936-1939 kontynuowałem naukę w klasie drugiej, trzeciej i czwartej w Wołkowysku.

Gdy mowa o rodzinie, chciałbym przedstawić nieco szczegółów z życiorysu mojego Ojca. W swojej biografii Ojciec miał piękną kartę walki o niepodległość. W czerwcu 1915 roku mając 22 lata wstąpił na ochotnika do Pierwszej Brygady Legionów Polskich



Ja (z prawej) i mój brat Zbyszek. Białowieża, 1935 r.



Stanisław Bachmiński

dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego, gdzie został przydzielony do 1. Pułku Piechoty. Pierwsza Brygada walczyła po stronie austro-węgierskiej przeciw Rosji. W sierpniu 1915 r. Stanisław Bachmiński został ranny w bitwie pod Wysokiem Litewskim. Kula karabinowa przestrzeliła obie nogi i znalazł się w szpitalu. Po wyleczeniu ran i rekonwalescencji w listopadzie 1915 r. wrócił do swojego pułku, który walczył na Wołyniu. Pierwsza Brygada uczestniczyła wówczas w ofensywie skutecznie prowadzonej przeciwko Rosji i doszła do Styru, południowego dopływu Prypeci, gdzie prowadziła ciężkie walki z Rosjanami. Ojciec uczestniczył w walkach nad Styrem i Stochodem aż do sierpnia 1916 roku znosząc wielkie niewygody frontowe w okopach, często pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim, w wyniku którego był kontuzjowany. W Pierwszej Brygadzie Ojciec służył 25 miesięcy aż do kryzysu przysięgowego, który nastąpił w lipcu 1917 roku. Kryzys przysięgowy był związany z tym, że Legiony Polskie miały być podporządkowane dowództwu niemieckiemu i legioniści – zgodnie z obowiązującą procedurą – musieli złożyć przysięgę cesarzowi Niemiec. Tak jak większość żołnierzy Pierwszej Brygady, Ojciec odmówił złożenia przysięgi i w rezultacie miał być internowany. Jak wynika z jego relacji, w czasie transportu do Szczypiorny (miejscowość blisko Kalisza), wyskoczył wraz z kolegą z pociągu w biegu i w ten sposób uniknął internowania. Po tej ucieczce udał się do Lwowa, by ewentualnie kontynuować studia w Wyższej Szkole Leśnej. W latach 1917–1919 studiował z przerwami, mieszkając na stacji i zarabiając na życie korepetycjami. Wyższa Szkoła Leśna była uczelnią samodzielną, a w 1919 roku została przyłączona do Politechniki Lwowskiej jako jeden z jej wydziałów.

W listopadzie 1918 roku wybuchły walki polsko-ukraińskie o Lwów. Żołnierze narodowości ukraińskiej służący w armii austro-węgierskiej widząc, że się wojna kończy, opanowali we Lwowie w

dniu 1 listopada 1918 roku szereg ważnych punktów przejmując władzę administracyjną chcąc podporządkować Lwów tworzącej się Zachodnio-Ukraińskiej Republice Ludowej. Oddziały ukraińskie przeprowadziły w dzielnicy, w której mieszkał Stanisław Bachmiński akcję wymierzoną przeciwko zamieszkałym tam młodym Polakom, chcąc ich wyeliminować, jako w większości wyszkolonych żołnierzy mogących zasilić polskie oddziały broniące Lwowa. Jak wynika z relacji Ojca, Ukraińcy przeprowadzili u niego w domu rewizję, a następnie został on wyprowadzony na plac, gdzie zgromadzono grupę Polaków, którzy mieli być prawdopodobnie rozstrzelani. Na szczęście nadleciał polski samolot, który ostrzelał zgrupowanie żołnierzy ukraińskich zgromadzonych na placu, co spowodowało, że wszyscy się rozpiechli. Ojciec korzystając z zamieszania uciekł z placu i ukrył się na cmentarzu, gdzie przebywał przez szereg dni, aż do wyparcia Ukraińców z tej dzielnicy przez polskie oddziały. Walki o Lwów trwały do 22 listopada 1918 roku, a skończyły się wyparciem Ukraińców z miasta, jednak Lwów był do maja 1919 roku okrążony i ostrzeliwany przez oddziały Ukraińskiej Armii Galicyjskiej. W kwietniu 1919 roku Ojciec wrócił do służby wojskowej we Lwowie, którą pełnił przez pięć miesięcy w Batalionie Wartowniczym Wojska Polskiego w stopniu kaprała. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w 1920 roku na stanowisku leśniczego Lasów Państwowych w województwie kieleckim. W 1933 roku Stanisław Bachmiński został odznaczony przez prezydenta Rzeczypospolitej Krzyżem Niepodległości. Trzeba dodać, że dwaj młodsi bracia Ojca, Wacław i Józef, również walczyli w Pierwszej Brygadzie Legionów. Józef służył ponadto w armii polskiej już po uzyskaniu niepodległości i w walkach z Ukraińcami w rejonie Lwowa, był mocno poszkodowany, bowiem w bitwie stracił oko. Jako inwalida wojenny otrzymał wsparcie od Państwa – dostał przydział ziemi oraz posadę w Dowództwie Korpusu w Grodnie.

Chciałbym również wspomnieć o moim stryjecznym dziadku, Stanisławie Bachmińskim, uczestniku Powstania Styczniowego. Był on studentem Szkoły Głównej w Warszawie i po wybuchu powstania wstąpił do oddziału powstańczego „Dzieci Warszawy”, w którym objął funkcję dowódczą setnika. Zginął 14 kwietnia 1863 roku mając 21 lat w starciu z Rosjanami pod Budą Zaborowską w Lasach Kampinoskich. Łącznie zginęło tam 73 powstańców, w tym mjr Remiszewski, dowódca oddziału. W Zaborowie Leśnym jest zbiorowa mogiła powstańców, którzy zginęli w tej bitwie.

W Wołkowysku mieszkaliśmy od 1936 roku i chciałbym podać nieco informacji o tym mieście i o zdarzeniach z tego okresu, które pozostały w mojej pamięci do dzisiaj. Było to miasto powiatowe liczące w 1939 roku około 17 tysięcy mieszkańców. Mieliśmy w mieście Publiczną Szkołę Powszechną (podstawową), Państwowe Gimnazjum i Liceum, Prywatne Czteroletnie Gimnazjum Kupieckie, była również prywatna szkoła podstawowa o nazwie Szkoła Pani Pawełskiej. Uczniowie wszystkich szkół nosili czapki z daszkiem, o różnych kolorach i kształcie, po czym można było odgadnąć, do jakiej szkoły uczęszczają. Trzeba dodać, że w Państwowym Gimnazjum i Liceum płacono chesne, choć były zniżki przysługujące dzieciom urzędników państwowych w wysokości 50 proc. W pobliżu centrum miasta był kościół rzymsko-katolicki oraz cerkiew prawosławna. Mieliśmy drużynę piłki nożnej *Strzelec*, chyba dość dobrą, bo pamiętam, że byłem na meczu, kiedy *Strzelec* wygrał z żydowską drużyną *Makabi* w stosunku 12:0. Do miasta przyjeżdżał Cyrk Staniewskich jak również Cyrk Popularny i ja nie opuszczałem okazji, by być na występach cyrku. W mieście działało również kino. Przyjeżdżał do nas Teatr Rędata z Warszawy i rodzice starali się zawsze być na występach tego teatru. Wołkowysk był węzłową stacją kolejową - miał dwa dworce kolejowe: Wołkowysk Miasto i Wołkowysk Centralny oraz przysta-



Wołkowysk jest położony 95 km na wschód od Białegostoku. Obecnie znajduje się na terenie Białorusi.

nek Wołkowysk Przedmieście, a co godne podkreślenia, dwa razy w tygodniu przejeżdżał tą linią na wschód w kierunku ZSRR i z powrotem międzynarodowy pociąg z Calais przez Paryż, Berlin, Warszawę do stacji granicznej Stołpce - Niegorieleje. Podróżni w Niegorieleje przesiadali się do pociągu szerokotorowego i jechali do Moskwy. Podróż z powrotem odbywała się tą samą trasą na zachód. Pociąg ten robił na mnie wówczas duże wrażenie, gdy przejeżdżał z dużą pręd-

kością i głośnym stukotem kół o szyny trasą biegnącą blisko mojej szkoły, a następnie skręcał po łuku pod lasem w kierunku granicy wschodniej.

W Wołkowysku uroczyste obchodzono Święto 3 Maja. Odbywała się wówczas defilada 3. Pułku Strzelców Konnych, a kombatanci z okresu walki o niepodległość, w odświętnych ubraniach, z przypiętymi odznaczeniami wojskowymi, szli wraz z wieloma mieszkańcami miasta obserwować defiladę. Dobrze pamiętam taką defiladę z 1938 roku, na której byłem razem z Ojcem. Wołkowysk to miasto mające długą historię związaną z ważnymi zdarzeniami. W 1386 r. wielki książę litewski Jagiełło zatrzymał się w Wołkowysku, gdzie się spotkał z delegacją polską z Krakowa i wspólnie potwierdzono ustalone w Krewie warunki przejścia przez Jagiełłę tronu polskiego oraz małżeństwa z zasiadającą na tronie polskim Jadwigą. Wołkowysk należący do Wielkiego Księstwa Litewskiego został zdobyty w 1410 roku przez Krzyżaków i spalony. Pamiątką po wojnie polsko-szwedzkiej zwanej potopem, w której miasto ucierpiało, jest nadanie Zamkowej Górze nazwy Szwedzka Góra, bowiem na tym wzniesieniu Szwedzi zbudowali szaniec i się bronili przed Polakami. Szwedzka Góra stanowi najwyższe wzniesienie i punkt widokowy na obrzeżu miasta. W czasie wyprawy Napoleona na Moskwę w 1812 roku miasto spłonęło. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, koszary wybudowane w czasach carskich zajął w 1922 r. 3. Pułk Strzelców Konnych.

Tak jak większość miast na wschodzie ówczesnej Polski, miasto zamieszkiwali w znacznej ilości Żydzi. W roku 1939 w Wołkowysku mieszkało 6900 Żydów i stanowili oni 40 proc. ludności miasta. W mojej klasie była tylko jedna dziewczyna wyznania mojżeszowego o polskim nazwisku Zelwiańska. Nie była ona dyskryminowana przez nikogo, a w czasie porannej modlitwy, którą odmawialiśmy na

początku pierwszej lekcji, wstawiała razem z całą klasą, lecz w modlitwie nie uczestniczyła. Żydzi mieli w mieście kilka swoich szkół talmudycznych, dlatego w publicznej szkole ich reprezentacja była niewielka. Jak pamiętam, antysemityzmu rzucającego się w oczy w mieście raczej nie było. Żydzi opanowali handel, tak jak w większości miast na wschodzie Polski. Natomiast, gdy zaczęły powstawać sklepy polskie, ich właściciele często umieszczali u siebie hasło: „Nie kupuj u Żyda”. Polacy nie unikali kupowania w sklepach żydowskich, tym bardziej, że mogli tam kupować na kredyt. Byłem świadkiem jak do sklepu żydowskiego z artykułami spożywczymi weszła dobrze ubrana Polka, prawdopodobnie żona urzędnika, wybrała sporą ilość towarów z półki, lecz nie zapłaciła gotówką, tylko wręczyła sprzedawcy notes, do którego ten wpisał artykuły sprzedane na kredyt.

W Wołkowysku mieszkaliśmy początkowo przez rok w dużym piętrowym domu, przy ul. Zastawa 5, w którym zajmowaliśmy parter, a na piętrze mieszkał właściciel domu p. Gołgowski wraz z żoną i trzema synami. Ponieważ chłopcy właściciela – moi i mojego brata rówieśnicy – byli bardzo usportowieni, uprawialiśmy z nimi na podwórku różne dyscypliny sportowe, takie jak: skok w dal, skok wzwyż i skok o tyczce. W odległości stu metrów od naszego domu płynęła rzeczka Wołkowyja i w okresie gorącego lata, jakie było w 1937 roku, w czasie wakacji, biegaliśmy przez łąkę do tej rzeczki wielokrotnie, by się wykąpać. Wówczas nauczyłem się pływać i te umiejętności w następnym roku doskonaliłem pływając w zbiorniku wodnym utworzonym przez tamę na Wołkowyji, a także na miejskim basenie. Na posesji p. Gołgowskiego znajdował się staw, który gdy zamarzał w zimie, był dla nas dobrym miejscem jazdy na łyżwach blisko domu. Na jesieni 1937 roku przenieśliśmy się na ul. Wileńską 40 do nowo wybudowanego domu, którego właścicielem był p. Zaleski, mierniczy przysięgły. Był to dwurodzinny parterowy dom murowany,

którego połowę zajmował właściciel, a drugą równorzędną połowę zajęliśmy my. Mieliliśmy do dyspozycji trzy pokoje z kuchnią, wodę brało się ze studni, a w podwórzu była ubikacja „sławojka”. Czyszczenie za to mieszkanie, podobnie jak za poprzednie, płaćła Dyrekcja Lasów Państwowych. Nasz budynek był przedostatni przy ulicy Wileńskiej, dalej ciągnęły się pola aż do Lasu Zamkowego odległego o dwa kilometry. Las Zamkowy był pod nadzorem Ojca jako leśniczego i Ojciec na inspekcję prac leśnych zazwyczaj dojeżdżał na rowerze drogą szutrową.

Za bliskiego sąsiada mieliśmy p. Gabrowskiego, który prowadził warsztat szewski, a ja z jego synem, Władkiem, chodziłem do szkoły do tej samej klasy i siedziałem z nim w jednej dwuosobowej ławce. Drugim dalszym sąsiadem był p. Cieplowski, z którym Ojciec był zaprzyjaźniony, a w latach 1940 – 1941, gdy byliśmy w obwodzie archangielskim, prowadził z nim korespondencję. Dalej za domem p. Cieplowskiego znajdował się wielki wykop po eksploatacji piasku, a wspominam o tym, gdyż w zimie ze zbocza tego wykopu odbywałem naukę jazdy na nartach. Do szkoły z ulicy Wileńskiej miałem około półtora kilometra i tę odległość pokonywałem pieszo, zazwyczaj z kolegą - sąsiadem, Władkiem Gabrowskim. Chciałbym dodać taką ciekawostkę, że jeden z kolegów z mojej klasy, syn nadleśniczego, dojeżdżał do szkoły na kucyku, gdzieś spod Wołkowyska. Była taka konieczność, gdyż nie było w tym rejonie komunikacji autobusowej. Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna, Wołkowysk znajdował się daleko od frontu, ale wojnę przeżywaliśmy głęboko, bo radio nadawało wiadomości o cofaniu się polskiej armii, ale najczęściej były to ciągle powtarzane ostrzeżenia o zbliżającym się kolejnym nalocie na Warszawę o brzmieniu: Uwaga, uwaga, nadchodzi eR-A koma 3, lub: Uwaga, uwaga, RA-DA przeszedł. Te, w ten sposób zaszyfrowane wiadomości, były na pewno zrozumiałe dla Warszawiaków, chociaż i

my wiedzieliśmy, że jest to komunikat o tym, że Warszawa będzie kolejny raz bombardowana, lub że nalot już się zakończył. Wołkowysk był jeden raz zbombardowany w rejonie stacji kolejowej, ale bomby nie trafiły w tory ani w budynek stacji, choć trzy zrzucone bomby pozostawiły głębokie leje tuż przy torach, kilkadziesiąt metrów od stacji, a szyby w pobliskich domach powypadały. Byłem tam i oglądałem skutki nalotu. Od tego momentu wielu mieszkańców miasta zaczęło oklejać szyby w oknach wąskimi paskami papieru, gdyż uważali oni, że w czasie bombardowania te paski papieru uchronią szyby przed wypadnięciem. Nie wiem czy to oklejanie szyb miało sens, ale więcej bombardowań już nie było i nie dało się sprawdzić skuteczności tego oklejania. Był jeden przypadek zrzucenia bomb przez niemieckiego bombowca na pole w pobliżu Lasu Zamkowego i wówczas pobiegłem wraz ze Zbyszkim i całą gromadą ludzi, by oglądać leje po trzech bombach. Ludzie zbierali ostre kawałki metalu stanowiące wypełnienie bomb. Widać było, że pilot pozbył się bomb, by bez ładunku wrócić do bazy. Pamiętam również takie zdarzenie, że na polu pod lasem wylądował polski myśliwiec, który prawdopodobnie miał defekt silnika. Tu również całą gromadą pobiegliśmy, by oglądać, co się stało. To były takie odgłosy wojny, które docierały do Wołkowyska. Nadeszła też wiadomość o zbombardowaniu fabryki dykty w Mostach odległych o 25 kilometrów od Wołkowyska. Fabrykę dykty w Mostach zwiedzałem w 1938 roku będąc na obozie harcerskim nad Niemnem w pobliżu tego miasteczka, dlatego ta informacja o zbombardowaniu bardzo mnie zmartwiła. Dykta była używana jako materiał do produkcji samolotów, dlatego Niemcy wzięli sobie fabrykę w Mostach za cel.

Wrzesień 1939 był pogodny, bezchmurny i na niebie pojawiały się dość często samoloty niemieckie lecące bardzo wysoko, gdzieś na wysokości 8 tysięcy metrów, lecz dla nas te samoloty nie

były groźne. Niebawem dla obrony miasta pojawiła się w naszym rejonie artyleria przeciwlotnicza. Dwa działa przeciwlotnicze zostały umieszczone i okopane tuż za płotem naszego ogrodu przy ul. Wileńskiej 40. Ale te działa ani razu nie wystrzeliły w kierunku samolotów niemieckich, chyba dlatego, że samoloty leciały zbyt wysoko i nie zamierzały bombardować miasta, a miały jakiś dalszy wyznaczony cel. Nasze działa przeciwlotnicze odbyły parokrotnie próbne strzelanie, co mogliśmy obserwować z bliska. Przewidując, że front może dotrzeć do Wołkowyska, ale i przed obawą nalotów, Ojciec zabrał się do kopania w ogrodzie schronu przeciwlotniczego, w czym ja i mój brat mu pomagaliśmy. Schron stanowił głęboki na półtora metra prostokątny rów, który został przykryty z góry deskami przysypanymi warstwą ziemi. Od strony wejścia do schronu były zrobione schodki wzmocnione deskami, umożliwiające schodzenie w dół i wychodzenie na zewnątrz. Front był jeszcze daleko, choć szybko się zbliżał. Byłem świadkiem jak w mieście pojawił się pewnego dnia kawalerzysta na koniu, widocznie ranny, bo z zabandażowaną głową, a przy nim zgromadziło się sporo ludzi i ten żołnierz ogłosił, że Polacy zwyciężają, a gen. Bortnowski zajął Pomorze. Dzisiaj można powiedzieć, że informacja ta chociaż podnosiła na duchu, nie miała nic wspólnego z rzeczywistą sytuacją na froncie.

Mieszkaliśmy dość wygodnie w naszym trzypokojowym mieszkaniu, ale wygodne życie się skończyło gdzieś w połowie września 1939 r., gdy w naszym domu zjawiła się wieloosobowa rodzina ludzi, którzy uciekając przed przesuającym się frontem dotarli do Wołkowyska. Był to nadleśniczy z centralnej Polski, z żoną, siostrą żony oraz dwoma dorosłymi synami, bliźniakami, już po maturze, Tadzikiem i Zbyszkim. Po dotarciu do Wołkowyska postanowili oni zakończyć ucieczkę i pan nadleśniczy zwrócił się do mojego Ojca z prośbą o przyjęcie na kwaterę. Ojciec nie znał tego pana, lecz kie-

rując się zasadą, że leśnik ma obowiązek pomóc leśnikowi, pozwolił mu i jego rodzinie u nas zamieszkać. I byli oni z nami około miesiąca. Dopiero w połowie października opuścili Wołkowysk i przez "zieloną granicę" przeszli na stronę okupowaną przez Niemców. Ta decyzja mojego Ojca, by przyjąć pod swój dach kolegę leśnika stanowiła - moim zdaniem - czyn godny pochwały, zważywszy, że ci nasi goście nie tylko mieszkali i spali w naszym domu (a było nas razem 10 osób w trzypokojowym mieszkaniu), ale również trzeba było ich karmić. Warunki zaopatrzenia w żywność bardzo się pogorszyły, szczególnie po wkroczeniu wojsk sowieckich. Waluta polska przestała być w obiegu, a nasi goście nie mieli rubli, choć nie wykluczam, że mogli spieniężać kosztowności. Ale chyba w sumie tak źle jeszcze nie było, bo pamiętam jak Tadzik i Zbyszek zachęcali moją Mamę, która gotowała obiad, żeby rosół był z dwóch kur, a nie z jednej, jak sugerowała moja Mama. Tadzika i Zbyszka wspominam jako ludzi sympatycznych. Zbyszek miał dobry głos i często śpiewał popularne piosenki, a najczęściej piosenkę *Marianna, Marianna, ta cudna panna*. Tadzik starał się być dla mnie, jedenastolatka, dobrym kolegą, ale nasz przyjaźń się skończyła, gdy poskarżył Ojcu, że palę papierosy.

Wojska niemieckie nieprzerwanie posuwały się naprzód. Wiedzieliśmy, że Warszawa jest oblężona i się broni, a u nas było dość spokojnie, choć wiadomo było, że całkowita klęska jest blisko, aż tu niespodzianie 19 września pojawiły się w Wołkowysku oddziały armii sowieckiej. Duże kolumny piechoty maszerowały szosą z kierunku północno-wschodniego, od strony Lasu Zamkowego i dalej szły naszą ulicą Wileńską do centrum miasta. Między oddziałami piechoty widać było ciągnięte przez traktory działa. Oddziały maszerowały ulicą obok naszego domu, który był położony w odległości kilkunastu metrów od ulicy. Jeden z krasnoarmiejców idący boso i na ramieniu niosący buty, które mu nogi otarły, wstąpił przez furtkę na naszą

posesję i pytał o studnię, bo chciał się wody napić. Wkrótce nadjechała duża kolumna czołgów. Czołgi, gdy wjechały do miasta, mocno uszkodziły ulice niszcząc szczególnie na zakrętach bruk, który był wykonany z okrągłych kamieni polnych zwanych “kocimi łbami”. W tym dniu i w następnych dniach w powietrzu pojawiły się wielkie samoloty sowieckie czterosilnikowe lecące z charakterystycznym potężnym warkotem.

U nas w domu rodzice i nasi goście – uciekinierzy toczyli dyskusje na temat przegranej przez Polskę wojny i rozważali, jaka jest nadzieja na zmianę tego, co się stało. Pojawiła się w mieście rymowana przepowiednia, przepisywana odręcznie i przekazywana z rąk do rąk, która dawała nadzieję, że Polska odzyska niepodległość. Do dzisiaj pamiętam fragmenty tej przepowiedni, której wówczas nauczyłem się na pamięć. Zacytuję tu fragmenty tej przepowiedni.

W dwa lat dziesiątki nastaną te pory,
Gdy z nieba ogień wytryśnie,
Spełnią się wtedy pieśni Wernyhory,
Świat cały krwią się zachłyśnie.

Polska powstanie ze świata pożogi,
Dwa orły padną rozbite,
Lecz długo jeszcze los jej jest złowrogi,
Marzenia ciągle niezbyte.

Krzyż splugawiony razem z młotem padnie,
Zaborcom nic nie zostanie,
Mazurska ziemia Polsce znów przypadnie,
A Gdańsku nasz port powstanie.

Próbowano różnie interpretować słowa tej przepowiedni, ale na ogół optymistycznie. Słowa te podnosiły na duchu, bo zawarta w nich była nadzieja, że wszystko dobrze się skończy.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich miasto zaczęło się dostosowywać do nowej władzy. Już na początku października uruchomiono moją szkołę powszechną (podstawową). Zacząłem chodzić do piątej klasy licząc według systemu polskiego, chociaż oficjalnie piątą klasę nazwano klasą czwartą dostosowując w ten sposób nasz 12-letni okres nauki w szkole podstawowej i średniej do systemu sowieckiej dziesięciolatki. Moją wychowawczynią i nauczycielką większości przedmiotów była pani Wiktoria Rogowska, ta sama, która prowadziła z nami zajęcia w młodszych klasach. Jako dodatkowy przedmiot wprowadzono język białoruski, a ponieważ w szkole nie było specjalisty od tego języka, więc pani Wiktoria została zobowiązana do nauczania tego języka. Ponieważ pani Wiktoria nie знаła języka białoruskiego, więc musiała się do lekcji mocno przygotowywać. Niestety szło jej jak po grudzie i widać było jak się męczy czytając nam coś po białorusku z podręcznika. Pamiętam, że pani Wiktoria pewnego dnia przyszła do klasy zapłakana, z czerwonymi oczami i niezdolna do prowadzenia lekcji. Powiedziała nam, że jej mąż, który pracował w Starostwie na stanowisku inspektora szkolnego, został przez władze sowieckie aresztowany. Mojego Ojca wezwano do magistratu, gdzie urzędowały nowe sowieckie władze administracyjne i tam mu zakomunikowano, że ma dalej pełnić funkcję leśniczego i będzie pracował na rzecz *Leschozu*, czyli jednostki zarządzającej gospodarką leśną. Wkrótce zjawiał się Rosjanin, szef *Leschozu* i Ojciec zaczął z nim współpracować. Ojciec otrzymał pensję w wysokości 600 rubli miesięcznie, a czynsz za mieszkanie miał opłacać również *Leschoz*, który przejął funkcje dawnej Dyrekcji Lasów Państwowych.

W pierwszych dniach po wkroczeniu wojsk sowieckich do

miasta, niektórzy Żydzi witali najeźdźców z wielkim entuzjazmem. Będąc w centrum miasta widziałem kilkusobową grupę Żydów maszerujących z czerwoną flagą, roześmianych i śpiewających pieśń wojenną *Jeśli zawtra wajna*. Widoczne w twarzach tych ludzi zadowolenie mogło świadczyć, że liczą na wielkie korzyści, jakich im przysporzy władza sowiecka. Nie można jednak wykluczyć, że wcześniej cierpieli z powodu dyskryminacji ze strony Polaków i dlatego byli szczęśliwi i pełni nadziei, że władza sowiecka zapewni im równouprawnienie. Chyba się jednak przeliczyli, gdyż Sowietci w trzeciej deportacji obywateli polskich tzw. *bieżeńców*, która miała miejsce 29 czerwca 1940 r., wywieźli z terenów polskich przyłączonych do ZSRR około 79 tys. osób, w tym około 71 tys., czyli ponad 90 proc. stanowili Żydzi. *Bieżeńcy*, czyli ludzie z zachodniej i centralnej Polski uciekający przed postępującą armią niemiecką, po 17 września 1939 r. znaleźli się na terytorium zajętym przez ZSRR. Deportacja ok. 71 tys. Żydów wyraźnie świadczy, że Sowietci polskich Żydów nie potraktowali w sposób uprzywilejowany i skazali ich bez żadnych skrupułów na eksterminację, podobnie jak Polaków.

Życie ludności w mieście bardzo się pogorszyło z powodu niedoboru artykułów żywnościowych. Po sól i cukier trzeba było stać w długich kolejkach. Sam stałem w takiej kolejce kilka razy. W centrum miasta można było spotkać wielu żołnierzy sowieckich, głównie oficerów. Mieliśmy w mieście koszary opuszczone przez 3. Pułk Strzelców Konnych, gdzie prawdopodobnie obecnie stacjonowała większa jednostka wojskowa krasnoarmiejców. 3. Pułk Strzelców Konnych na początku września 1939 r. opuścił koszary, by dołączyć do Grupy Operacyjnej „Narew”. Pułk 9 września przeszedł chrzest bojowy, a następnie walczył aż do 5 października biorąc udział w wielu starciach z Niemcami.

Pewnego dnia, gdzieś pod koniec października, odwiedziła

nas pewna pani i przyprowadziła ze sobą rasowego psa, z prośbą, by rodzice się nim zaopiekowali, bo ona ma kilka psów i nie jest w stanie ich wyżywić. Nie wiem od kogo dostała nasz adres, ale widocznie Ojciec był znany w mieście i ktoś Go polecił. Była to pani, która wraz z siostrą uciekała przed zbliżającym się frontem. Panie dotarły do Wołkowyska, a dalej uciekać nie było dokąd. Obie panie uciekały wraz z dziesięcioma rasowymi psami. Tu w Wołkowysku wynajęły mieszkanie, ale psiarnia była zbyt liczna, by można było ją wyżywić, więc panie zaczęły rozdawać swoje pieski w dobre ręce, do poleconych domów. Przyjeśliśmy tego białego szpica o imieniu Lalus i pozostał on u nas parę miesięcy nie sprawiając wielkiego kłopotu, poza tym, że był to pies arystokratyczny, okupował fotel i nie chciał byle czego jeść, a o dobre jedzenie było coraz trudniej. Jeden raz właścicielka przyszła odwiedzić swego pupila i częstowała go kielbasą, ale na co dzień nie mógł on liczyć u nas na takie rarytasy. Rodzice zdecydowali wreszcie, że trzeba psa oddać właścicielce. Ja zostałem wyznaczony do odprowadzenia Lalusia na smyczy do miejsca zamieszkania właścicielki. Gdy dotarłem pod właściwy adres zobaczyłem, jak uciekinierki mieszkają. Był to jeden pokój, w którym razem z tymi paniami mieszkało kilka psów. W pokoju poczułem bardzo silny psi zapach. Lalus był szczęśliwy, że wrócił do swoich. Nie wiem jak długo te panie zdołały przetrwać z tą psiarnią w warunkach panowania władzy sowieckiej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Deportacja

Deportacja osadników i leśników nastąpiła 10 lutego 1940 r. O tym, że władze sowieckie przygotowują deportację obywateli polskich, mieszkańcy Wołkowyska nie wiedzieli. Było to trzymane w tajemnicy, żeby ludzie wpisani na listę nie zdążyli uciec przed wywózką. W naszym domu wczesnym rankiem 10 lutego 1940 r., gdy jeszcze byliśmy w łóżkach, zjawili się czterech przedstawicieli władzy, w tym jeden umundurowany i uzbrojony w pistolet funkcjonariusz NKWD (Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych), jeden cywil i dwóch krasnoarmiejców z karabinami wyposażonymi w bagnety nałożone na sztorc. Ojciec ich wpuścił do mieszkania i wtedy usłyszał:

- *Sabierajcieś s wieszczami w dwa czasa!* (Zbierajcie się z rzeczami w ciągu dwóch godzin!)

- *A kuda my pajediem?* (Dokąd pojedziemy?) - zapytał Ojciec enkawudzistę, ale nie otrzymał żadnej konkretnej informacji.

Pozwolono nam wziąć zapasy żywności, ubrania, pościel i inne rzeczy osobiste. Przed domem na ulicy stało dwoje sań, na które mieliśmy się załadować. Rodzice zaczęli się pakować, udało się wziąć sporo rzeczy, a między innymi nożną maszynę do szycia. Zdążyliśmy zjeść śniadanie i nasi "goście" też coś przekąsili. Faktycznie przekroczyli-

śmy ustalony limit czasu na pakowanie wynoszący dwie godziny, ale zapakować się nie było łatwo, ponieważ nie mieliśmy odpowiedniej ilości walizek, więc trzeba było robić tłumoki. Ja i mój brat chcieliśmy pójść do ustępu znajdującego się na zewnątrz. Ojciec nasze wyjście musiał uzgodnić z przedstawicielem władzy, ale gdyśmy wychodzili towarzyszyli nam dwaj krasnoarmiejcy z karabinami. Widocznie była obawa, że uciekniemy, chociaż było to nieprawdopodobne, gdyż mróz na zewnątrz sięgał chyba minus 25 stopni. Temperatury nie dało się odczytać, ponieważ szyby były pokryte grubą warstwą lodu i szronu. Zima w lutym 1940 r. była jedną z najcięższych, a mrozy były trudne do zniesienia, nawet zajęcia w szkole były przez dłuższy czas zawieszone.

Pozostawiliśmy całe umeblowanie trzech pokoi i kuchni jak również różne urządzenia i przybory kuchenne oraz cenniejsze przedmioty takie jak rower, dubeltówka, brauning (rewolwer), aparat radiowy, bogaty zbiór książek w bibliotece Ojca, w tym niektóre książki oprawione w skórę. W gabinecie Ojca pozostał wiszący na ścianie piękny, wypchany głuszcak stanowiący trofeum z jakiegoś polowania. Z ubrania pozostawiliśmy niewiele - wypada tylko wymienić okrągłe pudło z pięcioma damskimi kapeluszami Mamy, które zostało w szafie. Również nie udało się wziąć wszystkiej żywności. Ze szczegółowych notatek Ojca sporządzonych z pamięci już w miejscu deportacji wynika, że pozostawiliśmy w domu: 700 kg ziemniaków, 300 kg mąki żytniej, 80 kg kapusty kiszanej, 35 kg buraków, 25 kg marchwi, 10 kg cebuli, 20 konserw jarzynowych, 5 litrów miodu, 4 litry wina. Wino było własnej produkcji z czarnych jagód i Ojciec w czasie pakowania naszych rzeczy pozwolił częstować się winem wszystkim obecnym. Nawet ja, chłopiec jedenastoletni, dostałem zezwolenie na parę łyków, ale nie wyszło mi to na zdrowie - być może łyków było więcej niż parę - w rezultacie wkrótce zacząłem „oddawać” to co wypilem. Po-

nieważ Ojciec prowadził w domu biuro związane z funkcją leśniczego jak również miał gotówkę służbową, więc sporządził odpowiedni protokół, który przekazał oficerowi NKWD wraz z kwotą 1612 rubli i uzyskał od niego pokwitowanie.

To co pozostawiliśmy z wyposażenia domu stanowiło dorobek życia rodziny i zostało to przez najeźdźców ze wschodu skonfiskowane. Również pozostawione artykuły spożywcze były bardzo cenne w tych czasach, kiedy sklepy po przybyciu Rosjan były puste, a w mieście pojawiły się długie kolejki po sól, cukier i inne artykuły. Deportacje wiązały się ze zorganizowanym rabunkiem mienia ludzi wysiedlonych i mienie to wpadło w ręce osobników, którzy się bogacili w ramach stosowanego bezprawia. Co się stało z naszymi rzeczami pozostawionymi w domu nie wiadomo. Pan Cieplowski, sąsiad z ulicy Wileńskiej, z którym Ojciec korespondował podczas naszego pobytu w rejonie Morza Białego, nie był w stanie nic konkretnego na ten temat powiedzieć.

Przed wojną Ojciec lokował oszczędności głównie na książeczkach PKO. Przedstawiciel władzy dokonujący naszej wywózki nie pozwolił ojcu wziąć żadnych dokumentów i w ten sposób pozostało w biurku pięć książeczek PKO na łączną kwotę 11500 zł oraz akcje, czeki i weksle na kwotę 2500 zł (w sumie stanowiło to równowartość czterech rocznych pensji leśniczego). Władze powojenne nie zwróciły oszczędności zdeponowanych w Powszechnej Kasie Oszczędności, także w wyniku wojny dorobek całego życia Ojca przepadł, z wyjątkiem działki budowlanej kupionej w 1936 r. w Skarżysku Kamiennej, która wyszła obronną ręką z zawieruchy wojennej.

Pakowanie rzeczy się zakończyło i Ojciec zaczął nosić większe pakunki na stojące przed domem sanie, a inne drobniejsze rzeczy nosiliśmy razem z Mamą. Sanie ruszyły o godzinie 12. w kierunku miasta, a następnie w kierunku Dworca Centralnego odległego od

naszej ulicy Wileńskiej około trzech kilometrów. Na dworcu zobaczyliśmy stojący pociąg towarowy składający się z dużej ilości wagonów. Pociąg był obstawiony wojskiem i do poszczególnych wagonów ładowano ludzi z bagażami. Były to polskie wagony kolejowe wyposażone w piętrowe prycze z desek, które umożliwiały spanie większej ilości osób. Załadowaliśmy się do jednego z wagonów, gdzie byli już jacyś ludzie. Na środku wagonu był żelazny piecyk, z boku był zrobiony otwór w podłodze z obudową z drewna i to miał być ustęp. Wagon miał wielkie drzwi przesuwane, które były od zewnątrz zamykane i ryglowane przez konwojentów - od wewnątrz nie można było ich otworzyć. Przez prostokątne okna wentylacyjne, umieszczone blisko dachu, można było z górnej pryczy spoglądać w dół i wtedy widziało się skrawek ziemi obejmujący zaledwie kilka metrów od wagonu. Do wagonu załadowano około 30 osób. Jak się okazało wielki problem był z tym ustępem, bo gdy ludzie zaczęli się tam załatwiać, to przy 25-stopniowym mrozie wszystko zamarzło na kamień. Ale zaradni mieszkańcy naszego wagonu próbowali to wszystko odetkać rozgrzewając na ogniu w piecyku jakiś długi pręt żelazny i tym prętem udawało się trochę udrożnić ważne urządzenie sanitarne.

Przez dwa dni pociąg jeszcze stał na stacji i w tym czasie prawdopodobnie doładowywano kolejnych ludzi zwożonych z powiatu wołkowyskiego. Dopiero 12 lutego pociąg ruszył, a w naszym wagonie nikt nie miał pojęcia, dokąd jedziemy. Następnego dnia dojechaliśmy do Baranowicz, miasta położonego około 120 km na wschód od Wołkowyska. W Baranowiczach skończyła się nasza podróż polskim wagonem towarowym i dalsza podróż miała się odbywać sowieckim pociągiem towarowym po szerokich torach, które już zostały przedłużone do Baranowicz od dawnej granicy ze Związkiem Sowieckim. W naszym wagonie była starsza pani w wieku około 70 lat, po którą przyjechał ktoś z rodziny do Baranowicz, gdyż uzyskał

zgodę na wycofanie krewnej z deportacji, ale pani ta nie wyraziła na to zgody, gdyż wołała pozostać przy najbliższej rodzinie, z którą została zabrana z domu. Po przyjeździe na miejsce zesłania ta starsza pani szybko zmarła.

Postój w Baranowiczach trwał aż pięć dni i dopiero 18 lutego przesiadliśmy się do eszelonu sowieckiego, bardziej przygotowanego do przewozu ludzi i pociąg ruszył na wschód. Zaletą tych sowieckich wagonów towarowych było to, że wagony były wyposażone w dwa małe oszklone okna, które można było przesuwąć i wyglądać przez nie na zewnątrz i które oświetlały wnętrze wagonu. Środek wagonu na szerokości przesuwanych drzwi stanowił wspólną przestrzeń, na której znajdował się żelazny piec. Przez okna mogli wyglądać tylko lokatorzy zajmujący górne prycze, a ci z dolnej pryczy musieli siedzieć w półmroku, ale mieli za to cieplej, bo żelazny piecyk stał na podłodze wagonu i intensywniej ich grzał. Myśmy trafili na górną pryczę z oknem, dzięki czemu mieliśmy lepszy kontakt ze światem zewnętrznym. Z piecyka, który miał jedną fajerkę i w związku z czym można było na nim postawić tylko jeden garnek, korzystały w kolejności poszczególne rodziny. Przy piecyku był ciągły ścisk, gdyż trzeba było gotować dla 30 osób zupę lub kaszę, a także wodę



*Tego typu żelazne piecyki
były umieszczone w wagonach*

na herbatę. Mój brat, Zbyszek, wpadł na dobry pomysł, by poza kolejnością korzystać z piecyka, a mianowicie rozrabiał niezbyt gęste ciasto i przyklejał do zewnętrznej obudowy rozgrzanego piecyka i wypiekał poza obowiązującą kolejnością bardzo dobre placki.

W naszym transporcie z Wołkowyska znajdowało się według oficjalnych danych 1818 osób¹. Przyjmując, że norma zagęszczenia w jednym wagonie wynosiła 30 osób, można oszacować, że pociąg składał się, łącznie z wagonami konwojentów, z około 65 wagonów. Konwojowani byliśmy przez żołnierzy Wojsk Konwojowych NKWD. Wagony były zamykane przez konwojentów od zewnątrz, a w czasie postoju pociągu były po kolei otwierane, by ludzie mogli załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Padała wtedy komenda: *Dawaj pod wagon!* Co oznaczało, że należy wyjść z wagonu i się na zewnątrz załatwić. Choć dosłownie tłumacząc komendę, „*pod wagon!*” oznaczało, że należało się załatwiać pod wagonem. To jednak mogło być ryzykowne, gdyby pociąg nagle ruszył, ale i miejsca pod wagonem dla kucającego tam człowieka dorosłego było za mało. Praktycznie wszystko odbywało się obok wagonu. W podróży od czasu do czasu otrzymywaliśmy przydział chleba, co miało miejsce na większych stacjach i wówczas konwojent wołał: *Dawaj dwa czełowieka za chlebom* (dawajcie dwóch ludzi po chleb)! Również często padała komenda: *Dawaj dwa czełowieka za wadoj* (dawajcie dwóch ludzi po wodę)! Oprócz chleba i wody dostaliśmy również w czasie naszej podróży parę razy ciepłą zupę.

Jechaliśmy na wschód zatrzymując się na nieco dłuższy postój w Mińsku, Orszy, Smoleńsku, Wiaźmie, Możajsku i dotarliśmy do Moskwy. W Moskwie padła komenda: *Dawaj pad wagon!*, ale po-

¹ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa 2003, s. 65.

ciąg zatrzymał się gdzieś z dala od centrum i gdy wyszliśmy z wagonu, stolicy potężnego imperium prawie nie widzieliśmy. W Moskwie zmieniliśmy kierunek na północny i pojechaliśmy przez Jarosław, Wołogdę, w kierunku Archangielska. Zatrzymaliśmy się na stacji Obozersk, gdzie linia kolejowa miała odgałęzienie w kierunku północno-zachodnim. W Obozersku na stacji stał eszelon pełen wojska. Żołnierze pytani przez naszych Polaków, gdzie oni jadą, nie chcieli odpowiadać. Nic dziwnego - obowiązywała ich tajemnica wojskowa. Z pewnością były to ruchy wojska związane z frontem fińskim. Wojna ZSRR z Finlandią toczyła się od 30 listopada 1939 r. do 13 marca 1940 r., a nasze spotkanie z tym wojskowym eszelonem miało miejsce około 27 lutego. Potwierdzenie tego, że w tym czasie tą linią kolejową transportowano wojsko znalazłem w Meldunku z 27.02.1940 r. przesłanym do Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych tow.



W takich wagonach jechali ludzie deportowani w głąb Związku Sowieckiego.

Berii. Meldunek ten brzmiał: „Transport nr 4082 zatrzymano po drodze rankiem 26.02.1940 r. na stacji Jemca, około 80 km od miejsca przeznaczenia ze względu na brak możliwości rozładunku na stacji Obozierskaja zajętej przez eszelony wojskowe”². Z Obozierska nasz transport pojechał w kierunku północno-zachodnim jeszcze około 50 km do końcowej stacji Kodino. Tu linia kolejowa się kończyła i tu również skończyła się nasza jazda koleją, chociaż nie był to koniec podróży. Jak sobie przypominam, Kodino było sporą osadą położoną wśród tajgi, o zabudowie rozrzuconej na przestrzeni kilkuset metrów, otoczoną wokół zaśnieżonym lasem świerkowym. W Kodinie kończył się pierwszy już zbudowany odcinek linii kolejowej, która miała połączyć główną linię Moskwa - Archangielsk z odległym o 400 km Biełomorskiem, a ten miał dalsze połączenie kolejowe z niezamarzającym portem na Półwyspie Kola - Murmańskiem. Wówczas nie wiedzieliśmy, że w Kodinie znajduje się duży łagier, którego więźniowie, gdy zniknie śnieg, przystąpią do dalszej budowy linii kolejowej do Biełomorska.

W Kodinie pozostawialiśmy w wagonach przez dwa dni. Dopiero drugiego dnia wieczorem kazali nam się wyładowywać. Nadjechała spora ilość sań zaprzężonych w konie, powożonych przez furmanów, na które zaczęliśmy w kolejności wsiadać. I następnie pojechaliśmy na noc w nieznanym kierunku. Nasz *izwoszczik* sprawnie powoził saniami, ale - jak pamiętam - miał niewyczerpany zasób przekleństw, którymi zachęcał konia do szybkiej jazdy. Koń był dość inteligentny i właściwie rozumiał treść rzucanych wiązanek. Po północy, po przejechaniu około 35 km, dojechaliśmy do wsi, w której mieliśmy zanoć. Wieś się nazywała Wierchowje, gdzie się zatrzymaliśmy i gdzie nas wszystkich rozlokowano rodzinami w wiejskich chatach.

² Deportacje obywateli polskich z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w 1940 roku, Warszawa/Moskwa 2003, s. 289.

Były to chaty drewniane, jednoizbowe. Izba mieszkalna była usytuowana na piętrze, wchodziło się do niej się po schodach, a na parterze były jakieś pomieszczenia gospodarcze. Nasza *chazijka* (gospodyni) była kobietą w średnim wieku, była dla nas sympatyczna, częstowała nas herbatą z leśnych suszonych jagód. Bardzo jej smakowały nasze konfitury z wiśni jako dodatek do herbaty. Owszem, miała również cukier do zagryzania, to znaczy cukier łupany, w twardych nieforemnych kawałkach, którym się nie słodziło, ale zagryzało pity czaj, czyli herbatę. W związku z tym, że mieszkańcy wsi zostali zobowiązani do przyjęcia na kwaterę Polaków otrzymali oni jako zapłatę od władz jeden litr nafty do oświetlenia chałupy oraz niewielki przydział cukru. Były to ostatnie dni lutego, zima mocno trzymała, wioska była pokryta ponad metrową warstwą śniegu. Przez wioskę przepływała spora rzeka Mudiuga skuta grubą warstwą lodu. Ale duża część rzeki w rejonie wsi była odśnieżona i były tam zrobione przeręble, z których ludzie brali wodę. Po trzech tygodniach zamknięcia w wagonie z wielką przyjemnością ślizgałem się na lodzie w części rzeki, gdzie śnieg został odgarnięty.

We wsi Wierchowje byliśmy trzy dni i czwartego dnia, a był to dzień 4 marca 1940 r., podstawiono sanie - podwozy, na które załadowaliśmy się z rzeczami i pojechaliliśmy w dalszą drogę. A koniec naszej podróży był bliski, bo zaledwie kilkanaście kilometrów przez tajgę dzieliło nas od miejsca stałego pobytu. Dotarliśmy do osady leśnej zwanej w oficjalnej terminologii władz NKWD *specposiołkiem* Nr 68 (specjalną osadą) o nazwie Szomboziero, a nas nazwano *specpieresielencami*, czyli specjalnymi przesiedleńcami. Osada ta była położona nad jeziorem Szomboziero i swoją nazwę zapożyczyła od nazwy jeziora. A jezioro było dość duże, gdyż miało długość około kilometra, a szerokość do trzystu metrów i było położone wśród tajgi. W momencie naszego przyjazdu jezioro było zamrożone i pokryte

grubą warstwą śniegu, a po zachodniej stronie jeziora wzdłuż brzegu stało w rzędzie kilkanaście baraków, a w tej liczbie kilka baraków mniejszych rozmiarów, w których mieściły się stołówka, *bania*, czyli łaźnia, sklep i piekarnia. Był też na uboczu barak, w którym mieszkał komendant specposiołka i dwaj jego pomocnicy (milicjanci) jak również sprzedawca zatrudniony w sklepie oraz kilku innych pracowników. W odrębnym obiekcie mieściła się stajnia dla koni.

Z naszej grupy pięciuset osób, które przyjechały saniami z Wierchowja, znaczna część wyładowała się w Szombozierze, ale nie wszyscy, gdyż mniejsza część w liczbie kilkudziesięciu osób pojechała dalej jeszcze dwa kilometry i znalazła się w małej osadzie o nazwie Szestoje Katiszcze. Nazwę tę można przetłumaczyć: Punkt Załadunku Drewna Nr 6 i nazwa ta miała związek z wcześniejszym wyrębem lasu w tym rejonie i składowaniem drewna przygotowanego do wywózki w tym punkcie. Tak się złożyło, że moja rodzina znalazła się w grupie skierowanej do Szóstego Katiszcza i tam zostaliśmy dowiezieni przez naszego przewoźnika. W naszej osadzie - *na Katiszczu* - jak się przyjęło w skrócie nazywać tę miejscowość - były tylko dwa baraki mieszkalne oraz dwa mniejsze baraki, z których w jednym mieściła się *bania*, czyli łaźnia, a w drugim stołówka. Przy jednym z baraków znajdowała się rampa będąca konstrukcją drewnianą, która przed naszym przybyciem do Katiszcza służyła do załadunku kłoców drewna.

Po przybyciu na miejsce wyładowaliśmy rzeczy z sań i następnie zajęliśmy wskazane nam miejsce w jednej z izb baraku nr 1 (numeracja baraków na mapie, str. 34). Wraz z nami do tej izby dostały przydział jeszcze dwie rodziny. Izba ta miała jeden piec tzw. chlebowy oraz trzy łóżka z siennikami, po jednym łóżku dla każdej rodziny. W tej izbie znalazło się nas czternaście osób: moja rodzina pięcioosobowa, również pięcioosobowa rodzina Stefana Kolanowskiego, leśniczego spod Wołkowyska, z żoną i dwoma synami - piętnasto-



Plan osady sporządzony przeze mnie na miejscu w 1940 r. Barak nr 5 - nasz barak mieszkalny, barak nr 2- łaźnia, barak nr 3- stołówka, barak nr 1 i 4 to pozostałe baraki mieszkalne. Brązowym kolorem zaznaczony jest las, zielonym łąka, linią przerywaną drogi. Przed barakiem nr 1 zaznaczono rampę załadunkową drewna. Przez łąkę idzie trasa traktorowa, która przechodzi przez dwa mosty.

letnim Ireneuszem i czternastoletnim Janem oraz dziesięcioletnią córką i trzecia rodzina p. Chmielewskiego z żoną, dwudziestoparoletnią córką i osiemnastoletnim synem. Chmielewski był osadnikiem wojskowym i podobnie jak mój Ojciec byłem legionistą. Warunki egzystencji przy tak dużym zagęszczeniu były trudne, ale do ścisku zdążyliśmy się przyzwyczaić podczas dwudziestu dni przebywania w zamkniętym wagonie. A panowie przy piecu ostro dyskutowali na tematy polityczne, przy czym najbardziej radykalny w dyskusji był Chmielewski. Z Bachmińskiego obydwaj panowie się często śmiali, że nie umie rąbać drewna do palenia w piecu i przy rąbaniu wykonuje jakieś nadmierne dziwne ruchy ciałem. Wyraźnie nie miał talentu do pracy fizycznej. Ale obowiązywała zasada, że mężczyźni na zmianę zajmują się paleniem w piecu i każdy musiał swoją porcję drewna narąbać.

Baraki, w których zamieszkali Polacy, zarówno na Katiszczu jak i w Szombozierze były zbudowane przez Ukraińców deportowanych w okresie represji stosowanych przez władzę sowiecką wobec *kułaków* i innych wrogów ludu w latach trzydziestych. Ukraińcy opuścili te baraki przed naszym przyjazdem, ale co się z tymi ludźmi stało nie można było się dowiedzieć - gdzie się rozproszyli. Nie znaczy to, że tych Ukraińców wycofano całkowicie z tego rejonu. Z danych statystycznych wynika, że w obwodzie archangielskim według stanu na dzień 1 października 1940 r. przebywało 40130 tzw. *trudposielenców*, czyli ludzi przymusowo przesiedlonych do pracy w ramach represji stosowanych wobec własnych obywateli. Było tych ukraińskich *osiedleńców* nieco mniej niż ilość deportowanych obywateli polskich osiedlonych w obwodzie archangielskim, których liczba w roku 1940 wyniosła około 55 tysięcy osób³.

³ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfa-betyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa 2003, s. 41.

Z moich obserwacji wynika, że wśród nas, ludzi deportowanych, nie wszyscy byli zamożni i dobrze sytuowani. W naszym baraku mieszkała rodzina, w której było dwóch chłopców nieco młodszych ode mnie i chłopcy ci nie mieli butów, a chodzili w łapciach. Łapcie były to zrobione z kory drzewa, coś jakby sandały, odpowiednio splecione. W łapciach w przedwojennej Polsce chodzili najbiedniejsi ludzie mieszkający na Polesiu. W marcu 1940 roku na Katiszczu były jeszcze silne mrozy, a moi koledzy chodzący w łapciach jednak sobie nóg nie odmrozili. Ludziom zamożnym łatwiej było tu przetrwać, gdyż mogli ze sobą wziąć w czasie wywózki rzeczy osobiste, które można było tu sprzedać i uzyskać pieniądze niezbędne do przeżycia. Natomiast ci biedniejsi, którzy nie mieli co sprzedać, a żyli tylko z niskich zarobków zazwyczaj jednej osoby pracującej w wieloosobowej rodzinie, szybko znajdowali się w sytuacji krytycznej. Zarobek nie wystarczał na fizyczne przeżycie rodziny.

Po przyjeździe do Katiszcza, po paru dniach wszyscy dorośli zostali zmobilizowani do pracy. W pobliżu naszego baraku znajdował się obszar, gdzie rozpoczęto wycinkę lasu. Duża grupa mężczyzn została przydzielona do tej pracy i była podporządkowana Rosjaninowi - dziesiętnikowi, wykwalifikowanemu *lesorubowi* (robotnikowi leśnemu). Dostali oni piły i siekiery, a Rosjanin pokazywał im jak się ścina drzewa. Uczestniczyłem w tej robocie jako obserwator przez kilka dni i zauważyłem, że niektórzy Polacy robili szybkie postępy w zdobywaniu kwalifikacji robotnika leśnego. Ale mistrzem w tej robocie był ten *diesiatnik*, który piłą kabłąkową w pojedynkę za jednym podejściem ścinał wielki świerk. Część naszych ludzi uczyła się ścinania, a inni zajmowali się obcinaniem gałęzi, cięciem ściętych świerków na krótsze odcinki, a także stawianiem metrów. Stawianie metrów polegało na tym, że dwie osoby piłą dwuręczną cięły ścięte drzewo na odcinki o długości jednego metra, a następnie te metrowe



Rysunek autorstwa sybiraczki Marii Gostylli przedstawiający stawianie metrów w tajdzie.

kłocę układały jeden na drugim do wysokości jednego metra tworząc zespoły długości od jednego do kilku metrów. To drewno służyło na opał, a długie odcinki były transportowane do zakładów przemysłu drzewnego do dalszej przeróbki, lub też na miejscu mogły być wykorzystane do budowy baraków mieszkalnych. Nasi ludzie nie mieli odpowiednich ubrań roboczych ani ciepłych butów do pracy pod gołym niebem na mrozie i przy często padającym śniegu. A Rosjanin,

ten *diesiatnik*, był ubrany wzorowo: miał na głowie czapkę uszatkę, nosił watowaną fufajkę i watowane spodnie, na nogach miał walonki z twardego wołoku a na dłoniach ciepłe rękawice. Wielu naszych, nie mając ciepłych ubrań i butów, odmroziło sobie ręce i nogi i było potem niezdolnych do dalszej pracy.

Wszyscy dorośli i młodzież powyżej szesnastu lat mieli obowiązek pracować fizyczne. Specposiołek był obozem pracy przymusowej. Z obowiązku pracy mogli być zwolnieni tylko chorzy lub kobiety mające pod swoją opieką większą liczbę dzieci. Mieliliśmy w Szombozierce punkt medyczny, gdzie zwolnienia chorobowe dawała pracownica tego punktu *fieldszerica* (felczerka). Zwolnienia były wypisywane na małym świstku papieru odręcznie, ale opieczętowane pieczęcią okrągłą z napisem: *Archangielskaja Obłast Oneżskij Rajon. Miedpunkt Nr 1*. Polak uchylający się od pracy, a nie mający zwolnienia z Punktu Medycznego, mógł być sądzony *za proguł* (za absencję nieusprawiedliwioną). Sąd się odbywał na Bazie, to jest na odcinku robót nad rzeką Onegą w odległości 20 km od Szomboziera, gdzie pracowało większe zgrupowanie naszych rodaków przy spławianiu drzewa. Był to sąd rejonowy (powiatowy), który przyjeżdżał z odległego o 35 km miasta Onegi i na sesji wyjazdowej rozpatrywał wnioski o ukaranie, złożony przez komendanta posiołka i skazywał oskarżonego w oparciu o przepisy Dekretu Prezydium Rady Najwyższej. Taki sąd odbył się nad Jadwigą Wróblewską, której zarzucono niestawienie się do pracy bez odpowiedniego usprawiedliwienia. Ale wyszła ona z tego procesu obronną ręką, gdyż sąd uwzględnił zaświadczenie od felczerki stwierdzające, że córka pani Wróblewskiej była chora i matka musiała się nią opiekować. Zgodnie z Dekretem za nieobecność w pracy oraz uchylanie się od pracy groziło 6 miesięcy robót poprawczych w miejscu zatrudnienia z potrąceniem 25 proc. zarobku lub 2 do 6 miesięcy więzienia.

Dyscypliny pracy pilnował u nas komendant Popow, a gdy Popowa odwołano - jego następcą Nikołajenko wraz z dwoma umundurowanymi pomocnikami: Jewsiejewem i Gusiewem, którzy chodzili po barakach i sprawdzali czy wszyscy wyszli do roboty. Warto dodać, że byli oni materialnie zainteresowani w wyciskaniu dyscypliny pracy, bowiem koszty utrzymania Komendantury posiołkowej oraz Komendantury Rejonowej znajdującej się w mieście Onedze były pokrywane z comiesięcznych potrąceń 10 proc. zarobków ludzi deportowanych. Potwierdzenie tej zasady znajduję w Książeczce Ob Rachunkowej mojego Ojca, gdzie od każdej wypłaty wynagrodzenia potrącono te 10 proc.

Mieszkańcy posiołka nie mieli prawa bez zezwolenia opuszczać swego miejsca zamieszkania lub miejsca pracy. Jeśli zaszła taka potrzeba niezbędna była przepustka wystawiona przez Komendaturę lub przez przedstawiciela rejonowego NKWD, gdy zainteresowany pracował poza posiołkiem. Ale w rzeczywistości mogliśmy się przemieszczać bez przepustki między naszymi dwoma posiołkami Szombozierem i Katiszczem, a także do stacji kolejowej Głazanicha jak również chodzić po lesie i zbierać jagody. By pójść do najbliższej wioski Wierchowje, odległej od Katiszcza o 15 km, gdzie można było kupić ziemniaki i inne warzywa, konieczna była przepustka, ale przepustki takiej komendant nie dawał.

Zima 1940 r. szła ku końcowi, a śnieg, który miał grubość półtora metra zaczął wolno topnieć i osiadać. Po takim osiadającym śniegu można było chodzić po powierzchni nie zapadając się, gdyż śnieg osiadając był coraz bardziej zagęszczony i utrzymywał ciężar ciała człowieka. Ale wkrótce, gdzieś w połowie kwietnia, ruszyły roztopy. Mała rzeczka wypływająca z jeziora Szomboziera, nosząca nazwę Szombruczej, a przepływająca przez Katiszcze, zamieniła się w czasie roztopów w rwącą rzekę zasilaną wodą z topniejącego śniegu.

Gdy zima ustąpiła ludzie z Szomboziera i Katiszcza byli kierowani do różnych prac związanych z wyrębem lasu, spalwaniem dłużyc drewna rzeką Onegą w kierunku Morza Białego, a także ruszyły w wielkim tempie roboty związane z budową linii kolejowej z Kodina do Biełomorska i część naszych rodaków znalazła zatrudnienie przy budowie tej linii. W 1940 r. zbudowano odcinek 50-kilometrowy z Obozierska do Kodina i pozostało do wykonania jeszcze 350 km do Biełomorska. Gdy wyrosła trawa na łąkach, ludzie nasi znajdowali zajęcie przy sianokosach. Ta praca była uważana za najlżejszą, nie wymagającą dużego wysiłku i dlatego kierowano do niej ludzi starszych i kobiety. Ale była to praca sezonowa i można było ją szybko stracić, a równocześnie praca ta była słabo wynagradzana, bo się otrzymywało 3 ruble za dniówkę.

A na Katiszczu przystąpiono do budowy trzeciego baraku mieszkalnego. Widocznie komendant uznał, że zagęszczenie w istniejących barakach jest nadmierne i odbiega od obowiązującej normy 3 metrów kwadratowych na osobę. Budowa ruszyła w dużym tempie. Mieliśmy wśród naszych ludzi z Katiszcza takich, którzy się znali na tej robocie, więc barak rósł w oczach i gdzieś w maju 1940 roku był gotowy do zamieszkania. Barak był wybudowany w takim stylu jak stare baraki, to jest z okrągłych bali świerkowych, okorowanych, układanych jeden na drugim. Bale były na styku ociosane na płasko, by mogły przylegać do siebie na całej długości, a miejsca przylegania utykano mchem, tak by nie było prześwitu, co też dawało lepszą izolację cieplną. Barak miał dach dwuspadzisty i niewielkie okna z szybami. Do tego baraku przeniesiono część ludzi z istniejących dwóch starych baraków, w których było największe zagęszczenie jak również przerzucono na Katiszcze trochę ludzi z Szomboziera, bo tam w istniejących barakach też było ciasno.

Tak się złożyło, że moja rodzina uzyskała przydział na za-

mieszkanie w tym nowym baraku, a Kolanowscy i Chmielewscy pozostali na starym miejscu, czyli w baraku nr 1. Nasz nowy barak miał jedno wejście środkowe i dwa wejścia boczne do izb mieszkalnych. W sumie w baraku było dwanaście izb mieszkalnych. Na sąsiadujące ze sobą trzy izby przypadał wspólny piec usytuowany we wspólnej sieni, służący do ogrzewania i do gotowania. Gotowało się wstawiając garnek na palenisku na rozżarzonych węglach. Ale przy gotowaniu nie było ścisku, bowiem zapasy żywnościowe przywiezione z Polski szybko się wyczerpały i nie było co gotować, a w sklepie znajdującym się w Szombozierce można było kupić tylko chleb na kartki, sól i naftę do oświetlenia. Nie można było dostać tam ani kaszy, ani mąki, ani oliwy i trzeba było się zdać na posiłki ze stołówki.

Nasza izba była oddzielona od izb sąsiednich przepierzeniem z cienkich desek sięgającym do wysokości około dwóch metrów, a powyżej była przestrzeń niezabudowana na odległość pół metra, nad którą był sufit z desek, a powyżej sufitu był spadzisty dach. Przez cienkie przepierzenie było wszystko słyszać, co się dzieje i mówi u sąsiadów, a co było najgorsze, że w tym wspólnym przepierzeniu znajdowały się pluskwy, które były nie do zniesienia w nocy. W naszej izbie, która miała powierzchnię około 15 metrów kwadratowych było małe okno z widokiem na rzeczkę i na trasę traktorową wykonaną z ułożonych na mokrym podłożu w poprzek drogi cienkich pali. W czasie naszego tam pobytu trasa traktorowa była nieczynna, ponieważ eksploatacja tajgi w tym rejonie została zakończona.

W naszej izbie był prymitywny drewniany stół, ława do siedzenia oraz w rogu było miejsce do spania, gdzie na noc układało się z desek prycę, na której układało się siennik wypchany sianem i cała rodzina kładła się obok siebie. Oprócz tego była mała ławeczka przy ścianie służąca do siedzenia dla jednej osoby, na której zazwyczaj siedział Tato, w okresie, gdy był niezdolny do pracy i przebywał w domu.

Obok nas mieszkali Tereszkowie. On, blisko sześćdziesiątki, wysoki i bardzo szczupły człowiek, z zawodu - jak się przedstawił - gorzelan, czyli pracownik gorzelni. Żona była znacznie młodsza od niego i miała siedemnastoletnią córkę. Gdy minęła zima 1940 r., wszyscy troje chodzili do pracy, przeważnie na sianokosy. Często pracowali razem we trójkę lub matka razem z córką, a ojciec oddzielnie. Praca przy sianokosach nie była ciężka, ale wymagała specjalnego zabezpieczenia głowy przed meszkami, które na tych podmokłych łąkach okrutnie cięły po odkrytych częściach ciała. Tereszko często wracał z pracy wcześniej niż żona z córką. Ponieważ był głodny, to wstawiał do naszego wspólnego pieca spory garnek z wodą, zagotowywał wodę i do wrzątku wrzucał pokrojone kostki chleba. To danie nazywał *kapłunkiem*. Jako pracujący otrzymywał 800 gramów chleba, więc z części przydziału chleba robił taki posiłek regeneracyjny. Kaloryczność takiego *kapłunka* była niewielka i nie wyrównywał on utraconych w pracy kalorii. Gdyśmy szli spać na rozłożonej pryczy, nasze głowy przylegały do przepierzenia, za którym były głowy Tereszków. Nie było dużej zgody między nimi, często okładali się poduszkami. Zazwyczaj była koalicja matki z córką przeciwko ojcu. Najgorsze było to, że w naszym wspólnym przepierzeniu roiło się od pluskw i trudno było zasnąć. Często przed zaśnięciem zapalaliśmy lampę naftową i zaczynało się polowanie na pluskwy, które przy świetle były widoczne i Mama przy pomocy metalowego szydełka je uśmiercała. Pluskwy były również między deskami sufitu i gdy ludzie spali, pluskwy spadały z góry na śpiących. Ja tych spadających pluskw nie widziałem, ale wszyscy mówili, że faktycznie pluskwy przyswoiły sobie takie umiejętności.

W trzecim pomieszczeniu obok Tereszków zamieszkała rodzina Palińskich. Była to rodzina z dużą ilością dzieci - wówczas nie

potrafiłem ich wszystkich policzyć. Faktycznie było ich tam dziewięcioro, to jest rodzice i siedem córek w wieku od dwóch do trzynastu lat. Ponieważ Paliński sam pracował, a żona zajmowała się dziećmi, nie mógł on zarobić tyle, żeby przynajmniej wykupić przydział chleba i kaszę lub zacierkę w stołówce, więc dzieci zaczęły umierać. Z głodu umarło pięć córek. Pamiętam śmierć jednej z nich, jedena-stoletniej, którą ułożono w naszej sieni w odkrytej trumnie zbitej z desek, a mocno przykuły moją uwagę wszy chodzące po twarzy martwego dziecka. Taki obraz nie ulega szybko zatarciu w pamięci. Trzeba dodać, że Palińscy na zsyłce spłodzili jeszcze jedną córkę. W Szombozierce mieszkało jeszcze troje dorosłych dzieci Palińskiego z pierwszego małżeństwa, a mianowicie dorosła dziewczyna i dwóch chłopaków w wieku 18 i 20 lat. Ci dwaj młodzieńcy pracowali w lesie bardzo wydajnie i zdobyli sławę jako „stachanowcy”, czyli przodownicy pracy. Dobrze zarabiali i przysługiwały im specjalne przydziały żywnościowe takich artykułów jak: cukier, cukierki, olej i może coś jeszcze. Komendant posiołka stawiał ich za wzór innym jak należy pracować, ale nie mieli oni wielu naśladowców.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rodzinie mieszkającej w naszym baraku. Była to rodzina Matiasów. Zostali oni wywiezieni z osady Kobylaki położonej kilkanaście kilometrów od Wołkowyska. On był gajowym w Nadleśnictwie Wołkowyskim. Rodzina Matiasów składała się z siedmiu osób, a między innymi był tam dziesięcioletni chłopiec Bolek, z którym miałem kontakty koleżeńskie oraz dwie ośmioletnie bliźniaczki, które się bawiły z moją sześciolletnią siostrą Hanią. Bolek zmarł na dyzenterię w pociągu w październiku 1941 r. w czasie naszej podróży do Kazachstanu. Matias często rozmawiał z moim Ojcem i ja się tym rozmowom przysłuchiwałem. Jedna z tych rozmów była taka: - Panie leśniczy, powinniśmy spróbować stąd uciec do Polski. Weźmiemy ze sobą kosze z jakimś jedzeniem i pójdziemy

w las aż dojdziemy do naszych domów w Polsce. Nie wiem, czy mówił serio czy tylko chciał usłyszeć opinię mego Ojca na ten temat. Ojciec oczywiście ocenił ten pomysł jako niemożliwy do zrealizowania, bowiem do Wołkowyska było 2000 km. Ale Matias widocznie z tym pomysłem ucieczki szerzej się obnosił i musiało to dotrzeć do Komendantury, bo Matias został aresztowany. Matiasa aresztowano, ale nie został on skazany i wrócił po jakimś czasie do domu.

W naszym baraku zamieszkało również małżeństwo Pereszczaków. Byli to ludzie w podeszłym wieku i nie nadawali się absolutnie do ciężkiej pracy fizycznej w lesie, a nie pracując nie mieli pieniędzy na życie i była perspektywa, że szybko umrą z głodu. Komendant, by się pozbyć kłopotu, załatwił dla Pereszczaków miejsce w *prijutie*, czyli przytułku. Pereszczakowie pojechali do tego *prijutu*, a jak długo tam przeżyli nikt nie wie, bo nie było od nich żadnych wiadomości. Prawdopodobnie zostali oni umieszczeni w specjalnym Domu Inwalidów w rejonie pineskim, 200 km na wschód od Archangielska, dokąd kierowano ludzi starych i inwalidów z całego obwodu archangielskiego.

Po wyjeździe Pereszczaków, do izby opuszczonej przez nich wprowadziła się pani Jadwiga Wróblewska, którą przeniesiono z Szomboziera do Katiszcza. Moja Mama zaprzyjaźniła się z panią Jadwigą, która miała dwoje dzieci - dziesięcioletnią córkę Irenkę i pięcioletniego syna Mariana. Pani Jadwiga pochodziła spod Wołkowyska z miejscowości Józefowo, gdzie miała z mężem spore gospodarstwo rolne, z pięknym sadem. Wróblewscy wyróżniali się w okolicy wielkością gospodarstwa i zasobnością domu. Mąż pani Jadwigi był nieobecny w domu w czasie deportacji, gdyż miał informację o planowanej wywóźce i wyjechał do Wilna, by tam przeczekać aż zagrożenie minie. Uniknął deportacji, ale w 1943 r., gdy przebywał u siebie w Józefowie został zamordowany w polu przez kogoś z miej-

scowych, o czym pani Jadwiga dowiedziała się po wojnie, po powrocie do Kraju. Pani Jadwiga często przychodziła do nas, zazwyczaj z synkiem Marianem, na pogawędkę. Marian już umiał nieźle czytać i popisywał się czytaniem z Elementarza dla pierwszej klasy, a także deklamował wiersze. Jego mama była zachwycona, że synek jest taki utalentowany. Córka, Irenka, po rozpoczęciu roku szkolnego zaczęła chodzić do szkoły do Szomboziera.

Kilka razy odwiedzał nas na Katiszczu pan Józef Korzeniowski, leśniczy spod Wołkowyska, mieszkający w Szombozierze, przynosił jakieś książki i rozmawiali z Ojcem o sprawach bieżących. Pan Korzeniowski charakteryzował się wysokim wzrostem i był człowiekiem uczynnym. Zasługuje on na moją wdzięczność, gdyż bardzo nam pomógł w biedzie, gdyśmy byli w Kazachstanie w 1942 r.

Również w Szombozierze mieszkał pan Labocha, z żoną i córką oraz rodzina Rozwadowskich. Wspominam o nich, gdyż spotkaliśmy się z nimi w Kazachstanie po opuszczeniu naszego posesiłka. Labocha, który był z zawodu leśniczym, odwiedził mego Ojca na Katiszczu kilka razy. O panu Labosze opowiadano, że przed wojną wzbogacił się wygrywając proces ze szpitalem o odszkodowanie. Był on słabego zdrowia i gdy zachorował trafił do szpitala, gdzie stan jego zdrowia na tyle się pogorszył, że lekarz pomyłkowo stwierdził zgon pacjenta. Odstawiono go do kostnicy, ale pacjent nie umarł, odzyskał świadomość, wszczął alarm i z powrotem wzięto go na izbę chorych. Gdy wyzdrowiał, pozwał szpital o odszkodowanie za dodatkowe cierpienie i straty moralne związane z pobytem w kostnicy. Podobno zasądzono na rzecz niedoszłego nieboszczyka spore odszkodowanie. Labocha na posesiłku prawie nie pracował, powołując się na zły stan zdrowia, ale też musiał mieć dużo rzeczy do sprzedania, bo w miarę dobrze się odżywił i w dość dobrym stanie zdrowia znalazł się później razem z nami w Kazachstanie w mieście Dżambule.

Na Katiszczu mieszkał w jednym ze starych baraków człowiek o nazwisku Chajan. To ten, z którego synem często maszerowałem do szkoły w Szombozierce. W Polsce pracował on jako gajowy. Miał wygląd i zachowanie inteligenta. Człowiek ten opowiadał, że przed wojną był komunistą i skarżył się, że został wywieziony przez pomyłkę i miał o to wielki żal do władzy sowieckiej. Chajan chwalił się, że we wrześniu 1939 r. rozbrajał polskich żołnierzy, którzy byli w rozsypce, gdy Sowietzi wkroczyli ze wschodu. Nasz nadzorca ze strony komendantury NKWD, Jewsiejew, gdy się dowiedział, że jest wśród nas człowiek deklarujący się jako komunista, kochający Związek Sowiecki, mianował go swoim pomocnikiem - konfidentem nadzorującym Polaków na Katiszczu. Do obowiązków Chajana należało częste odwiedzanie poszczególnych rodzin w barakach i meldowanie Jewsiejewowi o wypowiedziach, czy zachowaniach, które mogły być uznane za wrogie w stosunku do władzy sowieckiej czy ustroju komunistycznego. Chajan rozmawiał z Polakami po rosyjsku, a jego syn, Tolo, też mówił tylko po rosyjsku. Oprócz syna miał on jeszcze córkę, która nosiła rosyjskie imię Raisa i która chodziła do szkoły razem ze mną do tej samej klasy. Chajan często przychodził do nas do baraku, ubrany porządnie, w butach oficerkach i rozmawiał z Ojcem na bieżące tematy. Pamiętam jego częsty charakterystyczny zwrot: *panie Bachmiński, ja wam skażu takuju wieszcz* (panie Bachmiński, powiem panu taką rzecz). Były to rozmowy spokojne w tonie bez jakichś sporów politycznych. Ojciec wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem, który poszedł na współpracę z władzą. Chajan zamiast chodzić do pracy w lesie i tracić zdrowie tak jak wszyscy mieszkańcy naszej osady, korzystał z przywileju niepracowania. Na pewno za swoje zajęcie musiał otrzymywać wynagrodzenie z Komendantury. To, że spośród mieszkańców Katiszcza zostało aresztowanych kilka osób, musiało być zasługą Chajana. Aresztowano Matiasa, a tak-

że naszych dwóch współlokatorów z baraku nr 1, z którymi razem mieszkaliśmy na samym początku po przyjeździe, to jest Stefana Kolanowskiego oraz Stanisława Chmielewskiego. Kolanowski dostał wyrok 10 lat pozbawienia wolności za kontrrewolucyjną propagandę i agitację⁴. Faktycznie Chmielewski był mocno pyskаты i łatwo było znaleźć dowody, że jest wrogiem władzy sowieckiej. Ludzie aresztowani zazwyczaj trafiali do więzienia w Archangielsku i tam czekali na proces i wyrok⁵.

Komendantura znajdowała się w Szombozierze, a komendantem był początkowo Popow, którego z kolei zastąpił Nikołajenko. Ale dla nas na Katiszczu najważniejszym przedstawicielem władzy był Jewsiejew, który miał pod swoim nadzorem naszą osadę. Był on jednym z dwóch pomocników komendanta specposiołka i miał pełną władzę nad mieszkańcami Katiszcza. Często robił on obchód wszystkich baraków i rozmawiał z mieszkańcami. Nosił mundur funkcjonariusza NKWD i miał rewolwer w kaburze. Był to człowiek dość młody, niezbyt wysoki blondyn, chociaż niektórzy mówili, chyba złośliwie, że jest ryży. Z moim Ojcem sporo rozmawiał w czasie odwiedzin na różne tematy. Ojciec biegle władał językiem rosyjskim, bowiem skończył w Sosnowcu, będącym pod zaborem rosyjskim, *Realnoje Ucziliszcze* (Średnią Szkołę Realną) z rosyjskim językiem nauczania. Jewsiejew nie ścigał mojej Mamy za to, że nie pracuje. Widocznie przyjął do wiadomości, że do stawiania metrów się ona nie nadaje, a poza tym musi się zajmować trójką dzieci, w tym sześciolletnią córką

⁴ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa 2003, s. 359.

⁵ Chmielewski przeżył łagier i po amnestii resztkami sił dotarł do Uzbekistanu, gdzie spotkał się z rodziną. Píše o tym Walerian Wysocki we *Wspomnieniach z 1940-1944. W tajdze i na stepie*.

wymagającą bezpośredniej opieki.

W Mamy książeczce robotnika leśnego znalazłem tylko jeden wpis z maja 1940 roku potwierdzający pracę i wynagrodzenie za 9 dniówek roboczych. Udało nam się zabrać z Polski wysokiej klasy maszynę do szycia, nożną, marki *Singer*, więc Mama próbowała trochę zarabiać szyjąc coś na tej maszynie na zamówienie dla naszych ludzi. Ale widocznie krawcową nie była najlepszą i zamówienia szybko się skończyły. Jewsiejew pozytywnie ocenił to, że Mama szyje na zamówienie i spytał kiedyś:

- *Bachminskaja, wy partnicha* (Bachmińska, czy jesteście krawcową)?

- *Niet, ja nie partnicha* (nie, ja nie jestem krawcową). –
odpowiedziała spontanicznie Mama.

Ale to zaprzeczenie wynikało stąd, że Mama nie znając jeszcze rosyjskiego, zrozumiała słowo *partnicha* jako partaczka i sądziła, że Jewsiejew sobie kpi z jej umiejętności krawieckich. Dopiero po odejściu Jewsiejewa wszystko się wyjaśniło i było trochę śmiechu. Mimo to Jewsiejew pozostał w przekonaniu, że Mama jest krawcową, wykonuje pożyteczną pracę i nie gonił jej do pracy w lesie lub przy sianokosach. Zresztą już w czerwcu 1940 r., po czterech miesiącach od przyjazdu, pojawiły się u Mamy symptomy puchliny głodowej, nastąpiła utrata sił i nie byłyby w stanie iść do żadnej pracy.

Mój Ojciec prowadził od dnia wywózki codzienny raport ważnych zdarzeń. Dzięki temu będę mógł przedstawić przebieg jego pracy od momentu przyjazdu do Katiszcza. Na samym początku otrzymał Książeczkę Rozrachunkową robotnika wydaną przez przedsiębiorstwo *Onegales*, w której jako miejsce zatrudnienia podano oddział przedsiębiorstwa w miejscowości Karamino. Karamino było wioską położoną nad dużą rzeką Onegą w odległości około 50 km od ujścia tej rzeki do Morza Białego. Przy ujściu rzeki do morza było

położone powiatowe miasto Onega, w którym znajdował się rejonowy zarząd NKWD, a temu zarządowi była podporządkowana nasza posiołkowa Komendantura. Do Onegi było z Szomboziera około 55 km, a do Karamina około 20 km. Karamino było dla nas ważną miejscowością, ponieważ był tam urząd pocztowy, przez który otrzymywaliśmy listy, a niektórzy paczki żywnościowe z Polski. W Karaminie mieściła się również baza traktorowa obsługująca cały teren podległy oddziałowi prowadzącemu wycinkę lasu i transport drewna do punktów odbioru. W rejonie Karamina znajdował się też odcinek roboty zwany *Bazą*, gdzie odbywały się prace związane ze spalaniem drewna rzeką Onegą w kierunku Morza Białego. Płynące dłużyce drewna były wyciągane na brzeg w miejscowości Porog i tam szły do zakładu przeróbki drewna. Spalanie drewna rozpoczynało się po ustąpieniu lodów, czyli w maju i trwało do października, kiedy Onega zaczynała zamarzać. Ojciec na samym początku, po przyjeździe do Katiszcza, dostał pracę na miejscu: w pierwszym tygodniu przy ładowaniu kłoców, w następnym tygodniu przy odgarnianiu śniegu na drodze przy barakach, a w kolejnych dniach przy wycince lasu. Ponieważ nie miał ocieplonych butów umożliwiających wielogodzinne przebywanie na mrozie, doszło do poważnego odmrożenia dużego palca u nogi, w wyniku czego dostał od felczarki zwolnienie od pracy na okres sześciu tygodni. W tym czasie przychodziła do Ojca kilkakrotnie felczarka i robiła mu opatrunki używając do odkażania rany nadmanganianu potasu, co zapamiętałem ze względu na fioletowy kolor tego preparatu. Po zakończeniu zwolnienia chorobowego został skierowany na początku maja 1940 r. do cięższej pracy, a mianowicie do porządkowania terenu po wyрубie lasu i palenia gałęzi, a następnie pracował razem z trzynastoletnim synem, Zbyszkciem, przy czyszczeniu łąk. Był też okres na przełomie maja i czerwca, kiedy przez trzy tygodnie nie było dla niego roboty i przebywał w domu.

Ale lekka robota szybko się skończyła i w połowie czerwca 1940 r. Ojciec dostał skierowanie do pracy na *Bazie*, gdzie pracowało większe zgrupowanie Polaków przy spławianiu dłużyc drewna rzeką Onegą. Była to jedna z najcięższych prac i polegała ona na ściąganiu traktorem lub ręcznie wielkich dłużyc drewna na brzeg rzeki i wrzucaniu ich w nurt rzeki. Poza tym Ojciec wykonywał takie prace jak korowanie kłoców brzozy i świerka, czyli usuwanie kory z kłoców drewna przewidzianych do spławiania. Baza ta mieściła się w miejscowości Karamino odległej od Katiszcza o 20 km. Robotnicy zatrudnieni na Bazie byli zakwaterowani w barakach, na miejscu mieli stołówkę z bardzo nędznym wyżywieniem, a do domu, czyli do Szomboziera lub Katiszcza mogli wrócić w sobotę po robocie idąc pieszo 20 km, natomiast w niedzielę po południu musieli już wracać, by być w poniedziałek rano w pracy. Ojciec wracał do domu tylko raz na dwa tygodnie, bo była to duża odległość, której pokonanie po ciężkiej dniówce roboczej wymagało czterech godzin marszu, a w niedzielę po krótkim wypoczynku, należało przejść ten sam dystans z powrotem. W czasie pracy na Bazie trwającej trzy miesiące, Ojciec nas odwiedził na Katiszczu pięć razy. Pamiętam, że zawsze przychodził ledwie żywy ze zmęczenia. Opowiadał też, że pewnego dnia w stołówce bardzo się zdenerwował, gdy podano kolejny raz owsiankę bez okraszy i wtedy rzucił drewnianą łyżkę o stół i opuścił stołówkę głodny i wściekły. Gdy nas odwiedzał skarżył się, że ma zawroty głowy oraz objawy choroby zwanej po rosyjsku *cyngq*, czyli szkorbutu spowodowanego brakiem warzyw w pożywieniu.

Te trzy miesiące ciężkiej pracy przy braku w diecie mięsa, mleka, masła i warzyw spowodowały utratę sił i ogólną degradację zdrowia. A wynagrodzenie za tę pracę było niskie, zważywszy, że zarobione pieniądze powinny wystarczyć na utrzymanie rodziny. Jak wynika z zapisów Książeczki Obrachunkowej Stanisława Bachmiń-

skiego, zarobił on w okresie od marca do października 1940 r. 570 rubli netto (jest to zarobek pomniejszony o 10% podatku potrącanego na pokrycie kosztów utrzymania komendantury NKWD). Za czas zwolnienia chorobowego w tym systemie wynagradzania nie przysługiwał żaden zasiłek. Średnio miesięcznie w okresie tych ośmiu miesięcy wynagrodzenie wynosiło 70 rubli, co nie wystarczało na wykup przydziału chleba i obiadów stołówekowych dla całej rodziny. Kilogram chleba kosztował 1 rubel i 20 kopiejek, porcja kaszy owsianej 35 kopiejek, a porcja zacierki 58 kopiejek. Pięcioosobowa rodzina musiała codziennie zapłacić za chleb i te dania stołówekowe 7 rubli 50 kopiejek, czyli w skali miesiąca trzeba było wydać 230 rubli.

Stachanowcy, tacy jak bracia Palińscy, przekraczający ustalone normy wydajności pracy i mający wysokie zarobki, mogli sobie pozwolić na zamówienie w stołówce w Szombozierce zupy mięsnej - *sup miasnoj* - która kosztowała 1 rubel i 5 kopiejek. Był w tej zupie niewielki kawałek mięsa, ale raczej nie było wielkiego popytu na tak wykwintne danie. Ja będąc często w stołówce w Szombozierce nigdy nie odważyłem się, by sobie zafundować *sup miasnoj* i dlatego nie mogę nic powiedzieć na temat smaku tej zupy. Tradycyjnie zamawiałem zacierkę lub owsiankę. W stołówce można było dostać także solone grzyby, ale były one paskudne w smaku i tylko raz je wziąłem na spróbowanie. W Szombozierce był sklepik, do którego czasami wstępowałem, by sprawdzić, czy nie przywieziono czegoś, co można by było kupić okazjnie. Kiedyś spotkałem tam paru polskich stachanowców, którzy przyszli wykupić na specjalne kartki cukierki landrynki oraz cukier i byłem świadkiem następującej rozmowy:

- *Jeść sachar, jeść kanfiety* (czy jest cukier, czy są cukierki)?

- *Sachara i kanfiet niet* (cukru i cukierków nie ma). -

odpowiedział sprzedawca.

- *A paczemu niet* (a dlaczego nie ma)?

- *A patamu szto nie priwiezli* (a dlatego, że nie przywieźli).
- *A paczemu nie priwiezli* (a dlaczego nie przywieźli)?
- *A patamu szto łoszadiej niet* (a dlatego, że nie ma koni).

Jak widać trudności transportowe też miały wpływ na brak towaru w sklepie. Jednak ci przodownicy pracy dostawali w końcu swój przydział słodczy, łącznie z zaległościami, czasami parę kilogramów na raz.

Lato w 1940 roku było dość ciepłe i suche. Opady były niewielkie. Rzeczka Szombruczej przepływająca przez Katiszcze w odległości 50 metrów od naszego baraku, która w czasie roztopów zamieniała się w dużą rzekę, w lecie płynęła spokojnym nurtem, a ponieważ teren był bagnisty, w niektórych miejscach chowała się pod mchem i w rzeczywistości była niewidoczna. Z rzeczki tej mieszkańcy naszego baraku brali wodę dla celów spożywczych i do wszelkich innych celów. W lecie dzień był tu bardzo długi, a w lipcu słońce zachodziło tylko na trzy godziny - mieliśmy tak zwane „białe noce”, w czasie których można było nawet czytać nie używając lampy. Z kolei, gdy przyszła zima, słońce się pojawiało w grudniu i styczniu zaledwie na trzy - cztery godziny i szybko zapadała długa polarna noc. Było to związane z naszym położeniem geograficznym - do koła podbiegunowego było tylko trzysta kilometrów. Naszą osadę, Katiszcze, zamieszkiwało, po zbudowaniu trzeciego baraku, około 90 osób, a na głównym posiołku Szomboziero mieszkało około 400 osób. Dokładnej ilości osób, które przyjechały do obydwu naszych osad w marcu 1940 roku, nie jestem w stanie określić, choć mówiło się, że było to pięćset osób. Jak wynika ze spisu sporządzonego przez komendanturę na dzień 1 stycznia 1941 r. było nas łącznie 476 osób. Na ogólną ilość 476 osób do narodowości białoruskiej przyznawało się 51 osób, czyli 11 proc.⁶. Stan ilościowy po 10 miesiącach pobytu na zesłaniu

⁶ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa 2003, s. 71

zmniejszył się z około 500 osób do 476, gdyż ludzie zaczęli umierać. Po 1 stycznia 1941 r., czyli po dacie sporządzenia spisu, mieszkańcy naszych obydwu osad umierali w jeszcze szybszym tempie, głównie z powodu niedożywienia i chorób będących następstwem osłabienia organizmu. W połowie drogi między Szombozierem a Katiszczem, w lesie, przy drodze, zaczęto chować zmarłych. Ponieważ przez 10 miesięcy uczęszczałem do szkoły w Szombozierze i dwa razy dziennie mijałem ten cmentarz, to widziałem jak się liczba grobów w szybkim tempie powiększa. Mówiono, że tych grobów w końcowej fazie było około stu. Według moich szacunków dokonanych w oparciu imienny wykaz osób deportowanych do posiołka Szomboziera⁷, ilość zmarłych w ciągu 19 miesięcy w naszych obu posiołkach wyniosła około 65 osób, co stanowi 13 proc. stanu początkowego.

Nasi zesłańcy byli pod stałą obserwacją trzech funkcjonariuszy Komendantury, których zadaniem było nie tylko uzyskanie maksymalnego efektu z pracy przymusowej, przy minimalnym wynagrodzeniu za pracę, lecz również ważnym celem tych przedstawicieli władzy było wyłapywanie tych, którzy wypowiadali się krytycznie o Związku Sowieckim, o władzy NKWD, lub krytykowali system pracy przymusowej. Takich ludzi uznanych za niebezpiecznych dla władzy zaczęto represjonować, czego wyrazem były aresztowania. Aresztowanych odsyłano do Onegi na dalsze przesłuchania, następnie trafiali oni do aresztu w Archangielsku, gdzie byli z kolei sądzeni przez Kolegium Specjalne przy NKWD lub Sąd Obwodowy i zazwyczaj otrzymywali wyroki pięciu lub dziesięciu lat obozu pracy - łagru. Gdy Ojciec pracował na jesieni 1940 r. przy budowie linii kolejowej w rejonie stacji Głazanicha i ja po zakończeniu lekcji w szkole poszedłem go

⁷ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa 2003, s. 103-739

odwiedzić w robocie, a następnie szedłem z powrotem do Szomboziera, byłem świadkiem jak enkawudzista z rewolwerem w ręku prowadził w kierunku Głazanichy idącego kilka kroków przed nim skutego w kajdanki 25-letniego Anatola Rozwadowskiego, który został aresztowany. W tym samym dniu aresztowano również 19-letniego Stanisława Korzeniowskiego. Obydwaj byli sądzeni w Archangielsku i zostali skazani. Korzeniowski otrzymał pięć lat łagru za kontrrewolucyjną propagandę i agitację⁸. W Szombozierce aresztowano jeszcze kilku młodych mężczyzn, których nazwisk nie znam. Można przyjąć, że w sumie zostało aresztowanych około dziesięciu osób z obu naszych osiedli. Anatol Rozwadowski po wyroku został skierowany do łagru w Kodinie, którego więźniowie pracowali przy budowie linii kolejowej Obozersk-Biełomorsk, ale niestety nie doczekał amnestii i zmarł w tym łagrze w 1941 r.

Krótkie lato 1940 roku szybko minęło. Dużo chodziłem po tajdze poznając najbliższe tereny leśne. Przez naszą osadę przebiegała szeroka wycinką leśną droga idąca w kierunku miasta Onegi, choć obecnie nie używana do transportu drewna, ale dla mnie przydatna, gdyż mogłem się nią poruszać w linii prostej stąpając po ułożonych w poprzek drogi palach wzmacniających bagiennie podłoże. Była to tak zwana „drewniana droga”. Przy tej drodze na podmokłym terenie pojawiły się jagody podobne do malin o nazwie *moroszka*, rosnące nisko przy ziemi, początkowo koloru czerwonego, a gdy dojrzały były koloru pomarańczowego - cenne jako źródło witamin, choć dość kwaśne i niezbyt smaczne. Najchętniej zbierałem czarne jagody, których było sporo, a na terenach bagiennych spotykałem cenną żurawinę, ale występowała ona w niewielkich ilościach. Były również w

⁸ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa 2003, s. 370

lesie grzyby podobne do naszych rydzów, lecz były one wyjątkowo niesmaczne i dlatego ich nie zbieraliśmy. Nie było niestety tam prawdziwków ani kozaków, ani maślaków znanych nam z Polski. W tajdze były zające, ale nikt na nie polował, bo nie mieliśmy broni palnej. Wiadomo, zające są szybkie i nie da ich się złapać. Ale był okres, kiedy niektórym się to udawało. Otóż wczesnym latem rodziły się młode zające i my chłopcy z baraku nr 5 urządziliśmy grupowy pościg za tymi zajączkami. Gdy taki zając się pojawił w pobliżu baraku cała grupa chłopców rzucała się za nim w pogoń. Ponieważ w lesie były sterty gałęzi, taki zając wpadał na nie, co zmniejszało szybkość jego ucieczki, a często zaplątał się w gałęzie na dobre i wtedy był nasz. Niestety ani ja, ani mój brat Zbyszek, nie byliśmy zwycięzcami w tym polowaniu i inna rodzina miała ucztę. W rzeczce przepływającej koło naszego baraku na Katiszczu nie było ryb, które mogłyby być uzupełnieniem naszego wyżywienia. Próbowałem parę razy łowić ryby na wędkę w jeziorze Szomboziero, ale rezultaty moich połowów były bardzo skromne. Przede wszystkim nie miałem porządnej wędki. Haczyk zrobiłem z igły do szycia, którą rozhartowałem i odpowiednio wyprofilowałem, ale haczyk musiał mieć jakąś wadę, bo prawie nic nie złowiłem.

Przy naszym baraku na dość piaszczystym zboczu pagórka znaleźliśmy trochę terenu wykarczowanego, czyli pozbawionego korzeni ściętych drzew i na tej działce posadziliśmy wraz z paroma sąsiadami ziemniaki. Ale zbiory były całkiem nędzne, gdyż ziemia była, po zdjęciu warstwy ściółki leśnej, piaszczysta, bez składników organicznych. Natomiast jeden z mieszkańców naszego osiedla, pan Filik, zasadził w pobliżu naszej działki na płaskim terenie spory zagon ziemniaków i wyrosły mu wielkie wybujałe pędy jak również wkrótce wykopał wspaniałe bulwy. Zagadka jego sukcesu szybko się wyjaśniła. Otóż Filik, biegły w sprawach uprawy roli, zorientował

się, że nieopodal naszego baraku jest miejsce, w którym przedtem była stajnia i pozostało tam sporo nawozu końskiego i w tym miejscu zasadził ziemniaki. A była to земля niczyja i kto pierwszy ją zajął uzyskiwał prawo do jej użytkowania. Procentowała tu wiedza rolnicza i dobre oko człowieka, który to wypatrzył. Trzeba tu dodać, że mieszkańcy naszych obu posesji byli to w ogromnej większości rolnicy. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości dostali oni ziemię jako zwykli osadnicy, bądź jako osadnicy wojskowi. Niedużą grupę w Szomborzku i na Katuszku stanowili gajowci oraz leśniczowie (Walerian Wysocki w swoich Wspomnieniach podaje, że było tam zaledwie dziesięciu leśniczych).

W tajdze nie było wilków, były natomiast łosie i niedźwiedzie. Ja, mimo że sporo po tajdze chodziłem, jakoś żadnego niedźwiedzia nie napotkałem. Janek Czarniecki mieszkający w Szomborzku opowiadał, że napotkał w pobliżu ich osiedla niedźwiedźkę wraz z małymi, ale na szczęście niezauważony przez zwierzę szybko się wycofał. Paru ludzi również opowiadało o swoich spotkaniach z niedźwiedziem brunatnym, ale nikt z nich nie został przez niedźwiedzia zaatakowany. W zimie idąc drogą spotykało się liczne drzewa jarzębiny z czerwonymi pięknymi jagodami. Jednak owoce jarzębiny nie nadawały się do spożycia ze względu na cierpki smak i nikt tych owoców nie zrywał. W zimie jechałem do szkoły zazwyczaj na nartach. Gdy w nocy padał śnieg, to rano jadąc do szkoły widziałem na śniegu dużo śladów zwierząt, które przebiegały w poprzek drogi. Ale nie były to ślady dużych zwierząt, tylko jakichś mniejszych takich jak zajęce, kuny, lisy i inne, których na podstawie śladów nie potrafiłem zidentyfikować.

Wszyscy mieszkańcy obu naszych osiedli cierpieli z powodu niedożywienia. Niektórzy, mający rodzinę pozostałą na terenach zajętych przez Sowieci, pisali do rodziny o pomoc i faktycznie za-

częły nadchodzić paczki żywnościowe zawierające słoninę, masło, olej, cukier. Dzięki tym paczkom ludzie na krótko mogli poprawić swoją kondycję fizyczną. Od kogoś, kto dostał paczkę żywnościową, Mama kupiła kostkę masła, ale było to masło zjełczałe i miało gorzki smak. Mimo to, masło szybko zjedliśmy i było to jedyne masło, jakie jadłem podczas całego pobytu na Katiszczu. Mieszkańcy naszych obu osiedli zaczęli również korespondować z rodziną, chociaż listy przychodzące miały ślady cenzury. Zdarzało się, że cenzor wycinał nożyczkami zdania, zawierające treść uznaną przez niego za szkodliwą. Faktycznie byliśmy odcięci od wiadomości politycznych związanych z toczącą się wojną w Europie. Niektórzy otrzymywali w listach zaszyfrowane informacje o bieżących wydarzeniach, które jednak nie były optymistyczne. Byłem świadkiem jak do jednej z rodzin z baraku nr 1 przyszedł list, który był czytany na głos wobec większej grupy sąsiadów. List zaczynał się od słów: „W pierwszych słowach tego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. My jesteśmy zdrowi, czego i wam życzymy.” Była to formułka stosowana we wstępie listu dość powszechnie. W dalszej części listu była zaszyfrowana wiadomość dotycząca sytuacji politycznej na zachodzie Europy. Brzmiało to mniej więcej tak, że w naszej wiosce Nikodem miał zatarg z Bolkiem, Frankiem i Antkiem, doszło do bójki, która się zakończyła zwycięstwem Nikodema. Wszyscy się domyślali, że Nikodem - to Niemcy, Bolek - to Belgia, Franek - to Francja, Antek - to Anglia. List był cenzurowany, ale ta zaszyfrowana wiadomość została przepuszczona przez cenzora, bo była neutralna politycznie, natomiast cenzor w paru miejscach użył nożyczek. Wartość takich zaszyfrowanych informacji była niewielka, ale byłem świadkiem jak ludzie chłonęli te wiadomości, choć nie dawały one nadziei, że coś się może zmienić na lepsze tu u nas w tajdze. Faktycznie niewiele wiedzieliśmy, co się dzieje w Europie, a był to okres, kiedy Niemcy podbijali Danię, Norwegię,

Belgię, Holandię i Francję, a pakt przyjaźni między Niemcami i ZSRR nadal obowiązywał.

My nie otrzymaliśmy żadnej paczki żywnościowej z Polski, nie mieliśmy bowiem nikogo z bliskich po stronie zajętej przez Sowietów, a z części kraju okupowanej przez Niemcy, gdzie mieliśmy rodzinę, paczek żywnościowych nie wolno było wysyłać. Otrzymaliśmy tylko jedną paczkę z rzeczami od siostry Mamy spod okupacji niemieckiej, z Suchedniowa (woj. kieleckie). Rzeczy te miały niewielką wartość handlową, ale nadawały się do sprzedaży Rosjanom. Żeby się ratować przed głodem zaczęliśmy sprzedawać różne rzeczy, które udało się wziąć ze sobą z Wołkowyska. Kupowali je Rosjanie przyjeżdżający do naszego osiedla na zakupy. Byli to oficerowie nadzorujący łagry, czasami jacyś urzędnicy z Onegi lub ludzie nadzorujący budowę linii kolejowej – często towarzyszyły im żony. Rzeczy, które mieliśmy na sprzedaż, były chętnie kupowane, gdyż były dobrej jakości i takich rzeczy nie było u nich nawet w dużych miastach. Chociaż była jedna Rosjanka z Leningradu, która coś kupowała od nas i która twierdziła, że w Leningradzie można kupić podobnie dobre rzeczy jak nasze. Najcenniejsze było jednak to, że w wielu przypadkach Rosjanie płacili za towar nie tylko rublami, ale także w naturze, na przykład oliwą, mąką, kaszą, a w zimie mrożonymi rybami.

Kupujący musieli mieć uzgodnione z komendantem wizyty handlowe w naszych barakach, gdyż Jewsiejew nie mieszał się do tych spraw i ani nas, ani kupujących nie ścigał za handel. Przywieźliśmy z Polski sporo cennych rzeczy i dzięki ich sprzedaży były pieniądze na zakup chleba i dań wydawanych przez stołówkę. Mam zachowany spis rzeczy, które sprzedaliśmy, a wśród nich najcenniejsza była nożna maszyna do szycia marki Singer, za którą zapłacono 1250 rubli i dodatkowo dostaliśmy 6 kg ryby, litr oleju i 6 kg mąki pszennej. Była jeszcze druga cenna transakcja opłacona gotówką i artykułami

spożywczy, a mianowicie za kostium „angielski” Mamy dostaliśmy 300 rubli oraz 10 kg ryby mrożonej, 15 kg chleba, 6 kg mąki pszennej, 4 kg grochu i 1 kg słoniny. Rybę przechowywaliśmy przez parę tygodni w ujemnej temperaturze na zewnątrz baraku, schowaną pod drewnem opałowym. Ryba wystarczyła na wiele posiłków, a szczególnie się przydała na Wigilię 24 grudnia 1940 r. Jak wynika z zapisków Ojca za wszystkie sprzedane rzeczy otrzymaliśmy 4900 rubli w gotówce, a otrzymane artykuły spożywcze miały wartość 430 rubli.

Mieszkańcy naszej osady byli skazani na nędzne odżywianie doprowadzające do utraty sił i pogorszenia stanu zdrowia. Można było kupić jedynie chleb na kartki tzw. *pajok*, czyli przydział w ilości 800 gramów na osobę pracującą i 400 gramów na niepracującą oraz w stołówce można było dostać zazwyczaj dwa dania to jest kaszę owsiankę oraz zupę mączną, tak zwaną zacierkę na wodzie, być może okraszoną paroma kroplami oliwy. Na początku złe odżywianie nie dawało objawów pogorszenia kondycji zdrowotnej, ale po kilku miesiącach ludzie zaczęli chorować z powodu słabego odżywiania. Pojawiły się również choroby zakaźne takie jak tyfus, dyzenteria, a także kurza ślepotą objawiająca się tym, że człowiek dotknięty tą dolegliwością, o zmierzchu nic nie widział. Na tyfus ciężko chorowała pani Kolanowska, nasza dawna współlokatorka z baraku nr 1. Spotkałem ją idąc kiedyś do Szomboziera jak jechała na *wołokuszkach* do Katiszcza, z ogoloną głową, wracając ze szpitala. Ponadto ludzie zaczęli chorować na szkorbut, który miał swoją przyczynę, podobnie jak kurza ślepotą, w braku jarzyn w pożywieniu. Pojawiła się również groźna choroba związana ze złym odżywianiem zwana obrzękiem głodowym lub chorobą głodową. Obrzęk zaczynał się od dolnych partii nóg i postępował w górę aż dochodziło do obrzęku brzucha, przy czym chory tracił siły. Według definicji medycznej „choroba głodowa jest zespołem objawów występujących w głodzeniu ze szczególnym

niedoborem białka i witamin. Najbardziej charakterystycznym jej objawem są tzw. obrzęki głodowe takie jak puchlina kończyn dolnych i puchlina brzuszna".

Władzy sowieckiej można postawić zarzut, że stosowała metodę doprowadzania do śmierci wielu wywiezionych Polaków przez zmuszanie ich do ciężkiej pracy w tajdze przy głodowych racjach żywnościowych, przy braku mięsa, warzyw i tłuszczu.. Na naszym posiołku można było od funkcjonariuszy komendantury NKWD usłyszeć takie zdania:

- *My was zdieś priwiezli szto by wy padochli* (przywieźliśmy was tu żebyście zdechli).

lub

- *Niczewo, nie pamriosz, a kak pamriosz, pachoronim* (nie martw się, nie umrzesz, a jak umrzesz, to pochowamy).

lub

- *Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet* (kto nie pracuje, ten nie je).

Te ostatnie słowa były wzięte z Lenina. Tego typu wypowiedzi zdarzały się dość często. Również często przedstawiciele władzy powtarzali, że zostaliśmy tu deportowani *na wiegda*, czyli na zawsze. Była to dla nas Polaków bardzo bolesna prawda, poparta przykładem deportowanych ukraińskich *kułaków*, którzy nie mogli wrócić na Ukrainę.

Jest w moim posiadaniu list napisany przez moją Mamę do swojej mamy i siostry mieszkających w województwie kieleckim, pod okupacją niemiecką, który stanowi swego rodzaju dokument opisujący naszą sytuację po czterech miesiącach pobytu na zesłaniu. Przedstawiam dosłowną treść pierwszej części tego listu:

„2 lipca 1940 r. Szóste Katiszcze. Rosja Sowiecka [...] Opiszę Wam smutne w życiu naszym chwile, które przeżyliśmy i obecnie prze-

żywamy. Otóż 10 lutego br. zabrano nas z mieszkania pod karabinem i wywieziono do Rosji Sowieckiej nad Białe Morze koło Archangielska. Z mieszkania pozwolono nam zabrać ubranie, bieliznę, pościel, trochę żywności kilka garnków, poza tym wszystko zostawiliśmy: meble, porcelanę, obrazy, 300 kilo mąki i inne rzeczy. Piszę już drugi list, gdyż na pewno pierwszy do Was nie doszedł. Mieszkamy w lesie 50 kilometrów od kolei w barakach po kilka rodzin razem, mieszkanie nasze jest 5 metrów długie i 3 metry szerokie. Odżywiamy się tylko chlebem, wodą i zacierką postną lub okraszoną olejem, żadnych tłuszczów tu dostać nie można, czasem jest kasza, mleka nigdy nie widzimy, ponieważ tu nie ma blisko wsi żadnej, jesteśmy w szczerym lesie sami wywiezieni. A jest tu kuchnia sowiecka, w której gotują dla nas jeść i nic prócz tego kupić do życia nie możemy. Za te potrawy musimy płacić drogo. Wszyscy tutaj pracują jako robotnicy leśni, ścinają drzewa, stawiają metry, ładują drzewo na traktory, spławiają itp. Henio pracował w lesie, a nawet ja ze Zbyszkim i Kazikiem w zimie przy stawianiu metrów. Potem odmroził sobie Henio nogi tak, że przez miesiąc nie mógł chodzić na robotę. Teraz pracuje na Bazie 20 kilometrów od domu i przychodzi do domu co 2 tygodnie. Pracę ma ciężką, spuszcza drzewo do rzeki Onegi, całe bale, to jest robota akordowa. Na życie dla nas wszystkich zapracować nie może, toteż ja sprzedaję swoje sukienki, które przywiozłam, co tylko mam, aby wyżyć z dziećmi. Pracować sama nie mogę, bo nie mam siły. Nogi mi puchną z braku odżywiania i wilgotnego klimatu, powietrze jest tu niezdrowe, bagna same, jeziora. Bardzo nam ciężko żyć i smutno, oby Bóg dał powrócić w swoje strony. Kochana Mamo i Maniu taki ciężki los nas spotkał, może nas trochę poratujecie przesyłając nam paczkę żywnościową masła słoniny i cukru. Tutaj nadchodzą wszystkim paczki z Białorusi ośmiokilowe. Maniu, poinformuj się czy można

od Was wysłać paczki do Rosji, bo tłuszczu już nie mam, wszystko wyszło co zabrałam z domu. Jesteśmy tak jak w więzieniu, nigdzie nie wolno nam wyjeżdżać ani oddalać się na krok, bo nas pilnują. Nie wiemy czy się stąd wydostaniemy sami i kiedy, może nigdy [...]”

Ten list stanowi ważny dokument ilustrujący beznadziejną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. A jak przebiega obrzęk głodowy mogłem prześledzić z bliska, bowiem objawy tej choroby pojawiły się u mojej Mamy. Na początku zaczęły jej puchnąć nogi w okolicy kostek i wyglądało to niegroźnie, ale potem opuchlizna zaczęła obejmować całe nogi i z kolei zaczęła się posuwać coraz wyżej. Zadziwiające było to, że objawy choroby wystąpiły już w czerwcu 1940 r., czyli zaledwie po czterech miesiącach pobytu na posiołku. Mieliliśmy tam jakąś opiekę medyczną w postaci Punktu Medycznego, który się znajdował w Szombozierze, obsługiwanego przez felczerkę, ale na chorobę głodową felczerka nie miała lekarstwa. Trzeba przyznać, że w razie cięższej choroby Punkt Medyczny kierował pacjenta do szpitala, który się znajdował w Czekujewie, wiosce położonej nad rzeką Onegą, w odległości 40 km od Katiszcza. I moja Mama we wrześniu 1940 roku dostała skierowanie do szpitala, gdy opuchlizna sięgała już do pasa i Mama była ogólnie bardzo słaba. W związku ze skierowaniem Mamy do szpitala, Ojciec, który pracował na *Bazie*, zaczął się starać o przeniesienie do pracy bliżej Katiszcza, by mógł się zaopiekować dziećmi w czasie nieobecności żony. Funkcjonariusz NKWD nadzorujący Bazę wyraził zgodę na przeniesienie Ojca do pracy bliżej miejsca zamieszkania. Była to praca przy budowie linii kolejowej w rejonie stacji Głazanicha, odległej o 5 km od Katiszcza. Jak wynika z zapisków Ojca, jego praca przy budowie linii kolejowej polegała na karczowaniu trasy, na której miały być układane tory kolejowe. By zbudować linię kolejową, trzeba było najpierw wyciąć tajgę tworząc

trasę pozbawioną drzew, pnie ściętych drzew wykarczować, utwardzić podłoże, zrobić nasypy w miejscu obniżenia terenu albo przekopy w miejscu wzniesienia terenu i na koniec przystąpić do układania torów. Trasa linii kolejowej biegła w linii prostej i napotykała często na tereny bagniste, co wymagało dodatkowego wysiłku, by te bagna ustabilizować, a także należało zbudować niezbędne mosty.

Ojciec pracował przy budowie linii kolejowej krótko, ale spotkał go tam poważny kłopot związany z tym, że próbował kupić od jednego z pracujących tam więźniów walonki, czyli wysokie buty z twardego wojłoku, dobre na mrozy, które były mu potrzebne na zimę. W związku z tą transakcją został zadenuncjowany przez kogoś do komendanta. Taki handel z więźniami był zabroniony. O szczegółach tego incydentu Ojciec nie chciał opowiadać, ale trafił za to do aresztu w Szomborz, jednak po kilku dniach został z niego zwolniony.

Linie kolejową łączącą Oboziersk z Biełomorskiem budowano w dużym tempie zatrudniając znaczną ilość *zakluczonych*, czyli więźniów. Więźniów do pracy dostarczał Główny Zarząd Obozów Pracy Kolei Północnej NKWD *Sorokołag*. Budowa kolei przez więźniów odbywała się w takim systemie, że co parę kilometrów organizowano obóz pracy, czyli łagier, zwany też kolonią karną, w której mieszkali więźniowie w prowizorycznych drewnianych barakach, otoczonych wysokim ogrodzeniem z dwiema wieżami strażniczymi, z których strażnicy - *strietki*, wyposażeni w karabiny mieli pod obserwacją cały teren kolonii. Te kolonie karne, po rosyjsku *kałonny*, były ponumerowane, a po zakończeniu wyznaczonego odcinka robót, więźniów przenoszono parę kilometrów dalej, gdzie organizowano nową siedzibę kolonii. Jedna z takich kolonii znajdowała się w rejonie stacji Głazanicha, a gdy więźniowie tę kolonię opuścili po zakończeniu robót, miałem okazję chodzić po opuszczonych barakach. Baraki były zbudowane z desek jako prowizoryczne obiekty służące

do zamieszkania przez więźniów w bliskiej odległości od placu budowy. Chodziłem z nadzieją, że coś wartościowego tam znajdę. W lecie 1940 roku budowa była w pełnym toku w rejonie stacji Głazanichy i postępowała z dużą prędkością w kierunku miasta Onegi. W następnym roku 1941 już na tej trasie do Onegi kursowały pociągi osobowe. Pasażerom jednego z takich pociągów sprzedawałem pewnego dnia na stacji Głazanicha czarne jagody zbierane w lesie. Jedna z pasażerek rozmawiała ze mną i wypytywała o los deportowanych Polaków, mieszkańców pobliskiego posiołka, a na koniec pochwaliła mnie, że sobie dobrze radzę ze sprzedażą wypowiadając słowa: *Wot maładziec malczik!* (Zuch chłopak!). Kolej z Obozierska do Biełomorska miała znaczenie strategiczne, dawała bowiem bezpieczne połączenie rejonu Moskwy z Murmańskiem, niezamarzającym portem na Półwyspie Kola. Budowa odbywała się równocześnie w różnych punktach wyznaczonej trasy, co zwiększało tempo budowy. Gdy 22 czerwca 1941 r. wybuchła wojna z Niemcami i Niemcy szybko, bo 8 września zamknęli Leningrad w okrążeniu, a w październiku 1941 r. zaczęła się bitwa o Moskwę, połączenie kolejowe z Murmańskiem, omijające rejon Leningradu, stało się bardzo ważne, ponieważ począwszy od grudnia 1941 r. zaczęły przychodzić do Murmańska konwoje amerykańsko-brytyjskie ze sprzętem wojskowym. Sprzęt ten mógł bezkolizyjnie dotrzeć z Murmańska w kierunku zaplecza frontu nową trasą kolejową przez Biełomorsk do Obozierska i dalej na południe w kierunku Moskwy. Domyślam się, że Główny Zarząd Obozów Pracy Kolei Północnej NKWD dysponujący wielkimi zasobami łagierników, zmobilizował te zasoby, by kolej mogła być szybko oddana do użytku. Ale myśmy w październiku 1941 r. opuścili miejsce naszej zsyłki i nie mogliśmy być świadkami, czy z Biełomorska przez Głazanichę jadą transporty ze sprzętem wojskowym.

Trzeba wspomnieć, że władza sowiecka potrafiła mobilizo-

wać wielkie ilości więźniów do budowy ważnych obiektów. Tak było w latach 1931-1933, gdy budowano kanał Białomorsko-Bałtycki. Do budowy kanału łączącego Morze Białe z Morzem Bałtyckim zmobilizowano ponad 100 tysięcy więźniów i zbudowano ten wielki kanał w niecałe dwa lata.

W związku z tym, że Mama otrzymała skierowanie do szpitala w Czekujewie, Ojciec uzyskał w komendanturze zezwolenie, by ją tam odprowadzić, dlatego też przerwał pracę przy karczowaniu trasy kolejowej i musiał postarać się o jakiś środek transportu. Uzyskał w komendanturze *podwodę* w postaci tzw. *wołokuszek* z furmanem. *Wołokuszeki* stanowiły rodzaj krótkich sań zaprzęgniętych w konia i na pewno nie były one zbyt wygodne do przewożenia osoby chorej, ale wóz na kołach na tych leśnych wąskich drogach nie byłby dużo lepszy. *Wołokuszek* używano tutaj zarówno w lecie jak i w zimie. Do Czekujewa było 40 km, a niewielkie to osiedle, w którym się znajdował szpital, było położone nad rzeką Onegą. Podróż do szpitala tą podwodą musiała trwać kilka godzin, a z powrotem Ojciec musiał iść pieszo. W sumie wyprawa do Czekujewa zabrała mu cztery dni.

W czasie pobytu Mamy w szpitalu, który trwał od 24 września do 24 października 1940 r., czyli cały miesiąc, Ojciec pracował gdzieś w pobliżu naszego posiołka, ale jego dziennik kończy się na dacie 30 września 1940 r. i jest tam tylko informacja, że po powrocie z Czekujewa pracował w ostatnich dniach września przy paleniu gałęzi pozostałych po wycince lasu. Podczas nieobecności Mamy, ja z bratem chodziłem do szkoły w Szombozierce, a sześcioletnia siostra zostawała sama w domu. Jak pamiętam, w tym czasie największy problem mieliśmy z wszami. Chcąc się ich pozbyć musiałem podjąć jakieś działanie. Wypada tu dodać, że 6 października 1940 r. skończyłem 12 lat i byłem dostatecznie dorosły, by samodzielnie rozwiązać ten trudny problem. Rozebrałem poszwę z kołdry i poszewki z podu-

szek oraz dołączyłem do tego prześcieradła i wszystko to zaniósłem do *bani*, czyli łaźni, wrzuciłem do wielkiego kotła z wodą, rozpalilem pod kotłem ogień i gotowałem tę bieliznę pościelową przez dłuższy czas. Miałem nadzieję, że wszy się ugotują i będzie z nimi spokój raz na zawsze. Niestety! Po wysuszeniu bielizny pościelowej i zaścieleniu na noc naszego rodzinnego łóża wszy nadal okrutnie gryzły. Walka z wszami była beznadziejna i towarzyszyły nam one do końca naszego pobytu na Katiszczu, a także następnie w Kazachstanie, a nawet później w Iranie.

Leczenie Mamy w szpitalu przebiegało pomyślnie, o czym mieliśmy wiadomości od niej z nadesłanych dwóch kartek pocztowych. Oto treść pierwszej kartki z 1 października 1940 r.:

„Kochani Moi! Dzisiaj jestem szósty dzień w szpitalu. Stan mego zdrowia polepszył się, lecz opuchlizna jeszcze nie zeszła. Lekarz twierdzi, że po 14 dniach opuchlizna będzie spadać. Więc pobyt mój w szpitalu jest przewidziany dłuższy od 3 do 4 tygodni. By Bóg dał wyjść z tego. Odżywianie tutaj jest dobre - mleczne. Lekarstwa również przyjmuję. Ciekawa jestem czy Ty Heniu pracujesz na Głazanisze, czy też koło domu. Czy chłopcy chodzą do szkoły. Dzieci niech się ciepło ubierają. Hanusia niech ubiera rajtuzy i zimowy płaszcz. Zbysio i Kazio niech się zajmują porządkiem w domu. Grzyby niech solą. Jagody staraj się kupić i nasmażyć. Kiedy będę miała przyjechać zawiadomię kartką lub telefonicznie do Głazanichy. Tutaj można kupić kartofli, kapusty i cebuli, więc zabierz z sobą worki. Ja z powrotem będę musiała jechać, kiedy napiszę poproszę komendanta o furmankę [...]”

Po miesięcznym pobycie Mamy w szpitalu opuchlizna zniknęła, ale jak Mama pisze o sobie ze szpitala, jest słaba i musi dostać

furmankę, by wrócić do domu. Ojciec postarał się o podwodę i pojechał do Czekujewa, by Mamę przywieźć. Po powrocie opowiadała, że miała bardzo sympatycznego lekarza. Gdy już była całkiem zdrowa, podał jej rękę i powiedział: *Warszawa nasza!* Mama się domyślała, że mógł on mieć jakieś powiązanie rodzinne z Polską, ale nie chciał się do tego przyznać.

Chciałbym opisać zdarzenie, które miało miejsce na Katiszczu późną jesienią 1940 r. Otóż starsza kobieta wybrała się sama w głąb tajgi z koszykiem na jagody i nie mogła trafić z powrotem do domu. Gdy zrobiło się ciemno, rodzina rozpoczęła poszukiwania, lecz nie dały one rezultatu, bo tajga we wszystkich kierunkach była bezkresna, pełna bagien, moczarów oraz powalonych drzew. Nawoływania pozostały bez odpowiedzi. Gdy nastał dzień nastąpiła mobilizacja mieszkańców Katiszcza i rozpoczęto poszukiwania na większą skalę. Cały dzień poszukiwań przy udziale znacznej liczby osób nie dał rezultatu i kolejną noc zaginiona kobieta spędziła gdzieś w tajdze, nie mając ciepłej odzieży, a temperatura w nocy już mogła być ujemna. W kolejnym dniu do organizacji poszukiwań włączył się Jewsiejew i duża ilość mieszkańców Katiszcza wzięła udział w akcji. Komuś z poszukujących udało się natrafić na tę kobietę, siedzącą pod drzewem, półprzytomną, przemarzniętą i bliską śmierci. Dzięki solidarnemu działaniu rodaków wszystko się zakończyło szczęśliwie.

Wspominałem już wcześniej, że uczęszczałem do szkoły. Szkoła została uruchomiona w lipcu 1940 r. Ponieważ nie było wolnego baraku, w którym można by było prowadzić lekcje, wybudowano nowy barak przeznaczony na szkołę. Był to barak zbudowany, tak jak wszystkie inne, z długich okrągłych bali świerkowych, ale był niewielkich rozmiarów i miał jedną izbę lekcyjną. Barak został zlokalizowany blisko jeziora na terenie podmokłym. Barak ten został zbudowany na palach wbitych w podmokły grunt. Pale były smo-

łowane, a smołę uzyskiwano ze smolarni. Aby otrzymać smołę, do wykopanego głębokiego dołu wrzucano wykarczowane pnie drzew, rozpalano ogień, nakrywano tłące się drewno warstwą ziemi i przy małym dostępie powietrza i przy wysokiej temperaturze zawarta w drewnie żywica zamieniała się w czarną smołę. Smoła zabezpieczała pale wbite w podmokły grunt przed szybkim gniciem.

Nauka w nowo wybudowanym baraku szkolnym rozpoczęła się we wrześniu 1940 r. Ja i mój starszy brat zostaliśmy zakwalifikowani do czwartej klasy szkoły podstawowej. Do tej klasy zostali włączeni ci, którzy przed wojną ukończyli czwartą lub piątą klasę, czyli mieli przeważnie dwanaście lub trzynaście lat - rocznik 1928 i 1927. Absolwenci klasy szóstej, zazwyczaj z rocznika 1926 już szli do roboty i nie było dla nich miejsca w szkole. Dla młodszych zorganizowano klasę trzecią. W izbie lekcyjnej nauczyciel prowadził równocześnie zajęcia z uczniami trzeciej i czwartej klasy. W jednym rzędzie siedzieli w ławkach uczniowie klasy trzeciej, a w drugim rzędzie - czwartej, przy czym, gdy nauczyciel prowadził z jedną klasą zajęcia „głośno”, to druga klasa wykonywała wtedy zadania pisemne, czyli „cicho”. Podobny system nauczania był praktykowany w Polsce po odzyskaniu niepodległości, o czym mi opowiadała moja Mama, która była nauczycielką. Gdy wprowadzono wówczas powszechny obowiązek szkolny, w wielu wioskach organizowano szkołę w ten sposób, że sołtys dawał nauczycielowi do dyspozycji izbę wynajętą od gospodarza i tam nauczyciel uczył równolegle w dwóch klasach. Naszym nauczycielem był Aleksandr Kasjanow, mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Nosił on mundur enkawudzisty, ale miał kwalifikacje nauczyciela i nieźle sobie radził z prowadzeniem zajęć z kilku przedmiotów. W mojej czwartej klasie prowadził on zajęcia z języka rosyjskiego, arytmetyki, historii, przyrodoznawstwa i rysunku. Na lekcji języka rosyjskiego śpiewaliśmy pieśni żołnierskie, sławiące czyny wojenne bohaterów z okresu

wojny domowej, takich jak Czapajew czy Budionny, a także sławiące siłę bojową i uzbrojenie armii sowieckiej. Były też pieśni wychwalające Stalina i dowódców takich jak Timoszenko i Woroszyłow. Oto fragment jednej z tych pieśni: *S nami Stalin radnoj, Timoszenko giejroj i k pabiedie wiediot Woroszyłow* (Z nami ukochany Stalin, oraz bohater Timoszenko i do zwycięstwa prowadzi nas Woroszyłow). Trzeba przyznać, że śpiewaliśmy również jedną piosenkę nie związaną pod względem treści z wojną – była to *Katiusza* (Kasia), bardzo popularny przebój tamtych czasów. Kasjanow miał dobry głos i klasa chętnie śpiewała, chociaż bohaterowie tych pieśni nie byli naszymi bohaterami. W podręczniku szkolnym był wiersz, którego trzeba było się nauczyć na pamięć, a była w nim opowieść jak to uczniowie szkolni złapali szpiega, który przekroczył granicę państwa. Do dzisiaj pamiętam prawie cały ten wiersz. Była w nim zachęta dla młodych chłopców, by byli czujni i demaskowali wrogów państwa, tak jak to zrobili uczniowie w tym wierszu. Na lekcji języka rosyjskiego Aleksandr Kasjanow kazał się nauczyć na pamięć dwóch bajek Kryłowa, wielkiego rosyjskiego bajkopisarza. Bez trudu nauczyłem się tych bajek na pamięć i do dzisiaj potrafię je z głowy zarecytować. Pierwsza z nich miała tytuł: *Zierkało i abiezjana (Lustro i małpa)*, a druga: *Lebiedź, szczuka i rak (Łabędź, szczupak i rak)*. Oprócz naszych polskich uczniów mieliśmy w klasie czwartej Katię Szołochową, córkę Rosjanina zatrudnionego na etacie komendantury, który się zajmował końmi. Katia była bardzo dobrą uczennicą, że wszystkich przedmiotów miała *otliczno*, czyli bardzo dobrze i nie mieliśmy z nią w klasie konfliktów. Mówiła po rosyjsku ze śpiewnym akcentem, co mogło świadczyć, że pochodziła z jakiejs wioski, gdzie tak mówiono.

Z Katiszcza do szkoły chodziło kilku chłopców, a także Irenka Wróblewska, o rok ode mnie młodsza, sąsiadka zza ściany naszego baraku. Do Szomboziera mieliśmy dwa kilometry - jesienią i wio-

sną maszerowało się leśną drogą całkiem dobrze, ale w zimie roku 1940/1941 było znacznie gorzej, bo mrozy były wielkie, a śnieg ciągle padał i trzeba było od nowa przecierać szlak. Ja i mój brat Zbyszek mieliśmy w zimie dojście do szkoły ułatwione, gdyż poruszaliśmy się na nartach. Zbyszek, który miał talent do prac ręcznych, wyciosał ze ściętej brzozy narty, takie krótkie biegówki, które świetnie zdawały egzamin jako środek szybkiego poruszania się po śniegu. Przed nastaniem zimy do szkoły szliśmy zazwyczaj w grupie. Z mojego baraku szedł Gojlik, któremu zazdrościłem dorosłości, gdy zakomunikował, że skończył piętnaście lat. Również szedł z nami często Tolo Chajan, syn tego etatowego współpracownika komendantury, o którym szerzej pisałem poprzednio. Tolo w czasie naszego marszu snuł długie opowieści o czynach wojennych swego ojca z okresu pierwszej wojny światowej. Po czyjej stronie Chajan walczył trudno było się zorientować, w każdym razie, w tej opowieści syna, był on zawsze dowódcą kilkusobowego oddziału i wykonywał ważne zadania bojowe.

Z naszym nauczycielem na samym początku doszło do spięcia. Znalazł on u któregoś z uczniów notatnik harcerski, w którym zainteresowała go strona z zestawem symboli harcerskich mających zastosowanie przy rozgrywkach harcerskich w terenie, w tak zwanych podchodach. Jednym z takich symboli harcerskich była swastyka, która miała znaczenie: „Uwaga Niebezpieczeństwo!”. Aleksandr Kasjanow, nauczyciel i równocześnie funkcjonariusz NKWD, wykazał rewolucyjną czujność i zaczął robić dochodzenie w sprawie znaczenia tej swastyki zadając pytanie: *Szto eto takoje?* (Co to jest?) Nikt z nas nie znał jeszcze na tyle dobrze rosyjskiego, by mu wytłumaczyć, że ten symbol nie służy jako zachęta do zwalczania rewolucji. Nauczyciel długo robił dochodzenie w tej sprawie głośno krzycząc i ciągle wypowiadając słowa: *Eto kontrrewolucja!* Ale w końcu się uspokoił, widząc, że się nie da z tego zrobić afery o charakterze po-

litycznym. Drugie zdarzenie ze szkoły dotyczyło mnie i mojego brata i miało podłoże polityczne. Aleksandr Kasjanow rozpoczął lekcję przyrodznawstwa. Wziął do ręki kredę i na tablicy napisał: *PISZCZA* (pożywienie) i powiedział, że będzie to temat dzisiejszej lekcji. Następnie zadał pytanie:

- *Szto eto takoje piszcz* (co to jest żywienie)?
- *Owsianka!* – wykrzyknąłem
- *Zacierka!* – dodał mój brat

Nauczyciel dobrze odczytał nasze intencje, że chcemy wyrazić niezadowolenie z jakości żywienia, którym jesteśmy karmieni i uznał naszą wypowiedź za prowokację polityczną. Faktycznie chcieliśmy mu dogryźć jako przedstawicielowi tej władzy, która głodzi ludzi ciężko pracujących nie zapewniając im właściwych składników żywienia. W rezultacie Aleksandr Kasjanow wpadł w wielką złość i zaczął pokrzykiwać wymyślając nam od kontrrewolucjonistów. Dość długo trwała spora awantura. Skończyło się tym, że kazał nam przyjść do szkoły następnego dnia z ojcem lub matką. Ale rodzice się w szkole nie stawili ignorując to wezwanie, a nauczyciel już do tej sprawy nie wracał, bo faktycznie niewiele mógł nam zrobić. Jednak zapamiętał mi moje kontrrewolucyjne odezwanie i na świadectwie ukończenia czwartej klasy dał mi ze sprawowania stopień dostateczny. W ten sposób zostałem napiętnowany. Nauka w szkole zakończyła się 30 maja 1941 r. Po zakończeniu nauki ja i brat poszliśmy do pracy. Była to lekka praca polegająca na tym, że porządkowaliśmy teren wzdłuż drogi z Katiszcza do Szomboziera, zbieraliśmy na kupy gałęzie zaśmiecające las, robiliśmy stos i paliliśmy te gałęzie. Praca nam się podobała, bo był czerwiec i ładna słoneczna pogoda. I pewnego dnia gdyśmy pracowali przy drodze, nadszedł od strony Szomboziera nasz nauczyciel



РСФСР

Народный Комиссариат Просвещения

СВИДЕТЕЛЬСТВО

НАСТОЯЩЕЕ СВИДЕТЕЛЬСТВО ВЫДАНО Гаврилыскому
Николаю Станиславовичу (фамилия, имя и отчество) РОДИВШЕМУСЯ В 1928 ГОДУ,
 В ТОМ, ЧТО ОН ОБУЧАЛСЯ В Школы № 1 НАЧАЛЬНОЙ
 ШКОЛЕ с/пос. Шелоборо Онежского
района Архангельской области (уезд, город) ОКОНЧИЛ
(района и края области-обл.)
 ПОЛНЫЙ КУРС ЭТОЙ ШКОЛЫ И ОБНАРУЖИЛ ПРИ посредств
 ПОВЕДЕНИИ СЛЕДУЮЩИЕ ЗНАНИЯ:

ПО РУССКОМУ ЯЗЫКУ	<u>Посредственно</u>
ПО АРИФМЕТИКЕ	<u>Хорошо</u>
ПО ЕСТЕСТВОЗНАНИЮ	<u>Посредственно</u>
ПО ГЕОГРАФИИ	<u>Посредственно</u>
ПО ИСТОРИИ	<u>Посредственно</u>
ПО РИСОВАНИЮ	<u>Посредственно</u>
ПО ТРУДОВОМУ ОБУЧЕНИЮ	

30 мая 1941 года

№ 1.

Заведующий школой

А. Касимов

УЧИТЕЛЬ:

Moje świadectwo ukończenia czwartej klasy otrzymane 30 maja 1941 r.

Aleksandr Kasjanow. Zauważył nas, podszedł i powiedział:

- *Zdrastwujtie malczyki* (dzień dobry chłopcy)! *Szto wy zdies diełajetie* (co wy tu robicie)?

- *Tieriebiu galio* (uprzątamy gałęzie) - odpowiedzieliśmy.

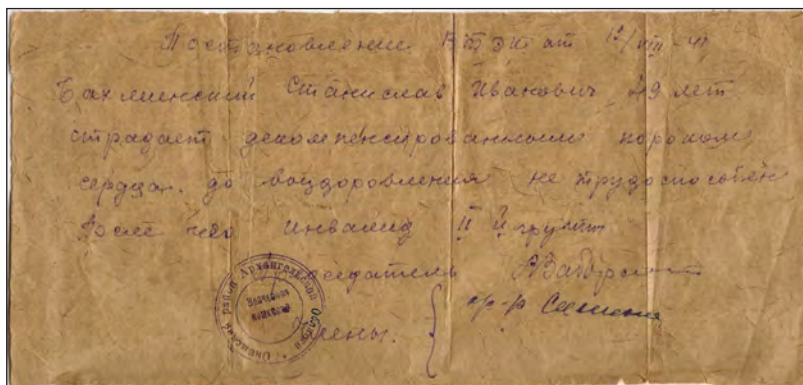
- *Wot charaszo* (to dobrze) - odpowiedział Kasjanow i dodał - *Adnako wy dołżny jechć w Oniegu, uczitsia dalsze w szkole, akonczyć siem klas i tagda wy budietie kwalificyrowannymi rabotczykami* (jednak powinniście jechać do Onegi, by się uczyć dalej w szkole, ukończyć siedem klas i wtedy będziecie wykwalifikowanymi robotnikami).

Rozstaliśmy się z naszym nauczycielem przyjaźnie, ale jego życzenie dotyczące naszej przyszłej kariery zawodowej jako wykwalifikowanych robotników pracujących w tajdze, nie spełniło się. W dniu 22 czerwca 1941 r. Niemcy uderzyli na Rosję Sowiecką i wkrótce *specpieresielency* stali się ludźmi wolnymi, a ja i mój brat straciliśmy okazję zdobycia zawodu wykwalifikowanych *lesorubów* (drwali).

Gdy nas wywożono 10 lutego 1940 r. Ojciec, który był zatrudniony na stanowisku leśniczego w Wołkowysku, nie otrzymał jeszcze pensji za styczeń 1940 r. Będąc już na posiołku, Ojciec niezwłocznie wysłał pismo do swego pracodawcy w Wołkowysku z żądaniem wypłaty wynagrodzenia. Niestety pieniądze nie nadchodziły, w związku z czym Ojciec napisał skargę do Rejonowej komendantury NKWD w Onedze z prośbą o interwencję. Interwencja okazała się skuteczna i przyszło zawiadomienie z poczty w Karaminie, że nadeszły pieniądze w wysokości 808 rubli. Pójście na pocztę do Karamina, odległego o 20 km, wymagało uzyskania od komendanta przepustki na opuszczenie posiołka. Komendant wydał przepustkę o następującym brzmieniu: „*Niniejsza przepustka została wydana specprzesiedleńcowi Specposiołka nr 68 Bachmińskiemu Stanisławowi. Zezwala mu się udać na pocztę do Karamina. Termin ważności do 24.11.1940 r.*” Pod-

stemplowano pieczętką trójkątną z napisem w środku: *Delegatura Nr 68*, a w otoku: *NKWD ZSRR, Zarząd w Archangielsku*.

Pieniądze przysyłane z Wołkowyska były dla nas bardzo cenne. Była to pensja za styczeń i 9 dni lutego 1940 r. Pensja leśniczego wynosiła 600 rubli miesięcznie, a tu robotnik leśny mógł zarobić od 100 do 150 rubli, co świadczy o skali degradacji człowieka. Pieniądze te bardzo się przydały, gdyż Ojciec już od listopada 1940 r. nie zarabiał, bo był na ciągłych zwolnieniach chorobowych, jego stan zdrowia systematycznie się pogarszał, odnowiło się w zimie odmrożenie palca u nogi. Stan zdrowia był na tyle zły, że 12 sierpnia 1941 r. Wraczebnaja Komisja, czyli Komisja Lekarska, którą powoływano stosownie do potrzeb w Szombozierze, w składzie przewodniczący i felczer, wydała postanowienie (zdjęcie zachowanego dokumentu poniżej), że Bachmiński Stanisław Iwanowicz lat 49, jest chory na serce, nie nadaje się do pracy i zostaje mu przyznana druga grupa inwalidztwa.



Postanowienie wydane przez Komisję Lekarską 12 sierpnia 1941 r.

Wkrótce, bo w trzeciej dekadzie sierpnia, znalazł się w szpitalu w Czekujewie z objawami obrzęku głodowego, chociaż felczer w zaświadczeniu o pobytku w szpitalu określił tę chorobę jako chronicz-

ne zapalenie mięśnia sercowego. Oni te wszystkie choroby związane z głodem określali jako wadę serca - *parok sierdca* lub zapalenie mięśnia sercowego. Niestety pobyt w szpitalu trwał tylko 10 dni i Ojciec został ze szpitala wypisany, lecz nie wyleczony. Przyczyną przedwczesnego wypisania Ojca ze szpitala była decyzja władz, by szpital opróżnić i zrobić miejsca rezerwowe dla żołnierzy rannych na froncie. Był to już trzeci miesiąc wojny Sowiećów z Niemcami i miejsca w szpitalu na dalekim zapleczu stały się pilnie potrzebne.

ROZDZIAŁ TRZECI

Amnestia

O wielkich niepowodzeniach wojsk sowieckich w wojnie z Niemcami dowiedzieliśmy się od ludzi pracujących na bazie, którzy mieli jakieś informacje z gazet, a także rozmawiali z Rosjanami współpracującymi z nimi przy spalaniu drewna. Również mój Ojciec będąc w szpitalu czytał prasę rosyjską i miał sporo świeżych wiadomości z frontu. Nadzorujący nas enkawudziści także zaczęli z zażenowaniem przyznawać, że ich *niepobiedimaja strana* - niezwykle ciężone państwo, ponosi sromotną klęskę. Ze sporym opóźnieniem dotarła do nas wiadomość o zawartym 30 lipca 1941 r. w Londynie Układzie między Władysławem Sikorskim, prezesem Rady Ministrów Rzeczypospolitej, a Iwanem Majskim, ambasadorem ZSRS w Wielkiej Brytanii. Najważniejsze dla nas było to, że 12 sierpnia 1941 r., Prezydium Rady Najwyższej ZSRS wydało dekret w sprawie udzielenia amnestii obywatelom polskim więzionym na terytorium ZSRS. W sierpniu 1941 roku liczba obywateli polskich aresztowanych, skazanych na pobyt w łagrach, wysiedlonych, jeńców wojennych oraz internowanych wynosiła 391 575 osób. Ogółem zwolniono w ramach amnestii 389 041 osób⁹.

⁹ Deportacje obywateli polskich z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w 1941 roku, Instytut Pamięci Narodowej, 2003 r. s. 707

U K Ł A D
M I E D Z Y R Z A D E M R Z E C Z Y P O S P O L I T E J P O L S K I E J
A R Z A D E M Z W I A Z K U
S O C J A L I S T Y C Z N Y C H R E P U B L I K R A D

Rząd Rzeczypospolitej Polskiej i Rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad zawarły niniejszy układ i postanawiają co następuje:

1. Rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 roku, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, utraciły swą moc. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej oświadcza, że Polska nie jest związana z jakimkolwiek trzecim Państwem żadnym układem, zwróconym przeciwko Związkowi Socjalistycznych Republik Rad.
2. Stosunki dyplomatyczne między obu Rządami będą przywrócone po podpisaniu niniejszego układu i nastąpi niezwłocznie wymiana Ambasadatorów.
3. Oba Rządy zobowiązują się wzajemnie do udzielania sobie wszelkiego rodzaju pomocy i poparcia w obecnej wojnie przeciwko hitlerowskim Niemcom.
4. Rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad oświadcza swą zgodę na tworzenie na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Rad Armii Polskiej, której dowódca będzie mianowany przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej w porozumieniu z Rządem Związku Socjalistycznych Republik Rad. Armia Polska na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Rad będzie podległa w sprawach operacyjnych Naczelnemu Wojskowemu Dowódcy Związku Socjalistycznych Republik Rad, w składzie którego będzie się znajdował przedstawiciel Armii Polskiej. Wszystkie szczegóły dotyczące organizacji, dowództwa i użycia tej Armii będą ustalone dalszym układem.
5. Układ niniejszy wchodzi w życie natychmiast po podpisaniu i nie podlega ratyfikacji.

Układ niniejszy sporządzony jest w dwóch egzemplarzach, każdy w języku polskim i rosyjskim. Oba teksty mają jednakową moc.

Londyn, 30 lipca 1941 roku.

PREZES RADY MINISTRÓW

Władysław Sikorski

Wiadomość o amnestii dotarła do nas w połowie sierpnia 1941 r. Komendant zwołał w Szombozierce zebranie wszystkich dorosłych mieszkańców obydwu naszych posiołków. Nikt nie wiedział, jaki ma być cel tego zebrania. Na zebranie poszli oboje moi rodzice. Komendant po krótkim wstępie politycznym ogłosił decyzję o amnestii, co było dla wszystkich wielkim zaskoczeniem i równocześnie bardzo emocjonującą wiadomością. Komendant zakomunikował, że rząd polski i rząd sowiecki zawarły układ i zobowiązały się walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi, jakim są Niemcy. Wszyscy mieszkańcy obydwu naszych osad są amnestionowani, co oznacza, że przestaną podlegać represyjnej władzy komendantury i uzyskają prawo do swobodnego zamieszkania na terytorium ZSRR. Wszyscy dorośli wkrótce otrzymają *udostawierienija*, czyli zaświadczenia o amnestionowaniu i będą mogli opuścić miejsce zsyłki i wyjechać w bardziej przyjazne regiony ZSRR. Obecni na zebraniu zareagowali na tę wiadomość entuzjastycznie. Odśpiewano *Jeszcze Polska nie zginęła* i zapanaowała wielka radość. Rodzice po powrocie z zebrania byli bardzo przejęci i zdali dokładną relację z jego przebiegu.

Wkrótce nadeszły *udostawierienija*, i zapadła decyzja, że w dość szybkim terminie będziemy mogli wyjechać gdzieś na południe ZSRR, wszyscy razem jednym transportem kolejowym. Władze rejonowe NKWD z Onegi aktywnie współdziałały z powołanym przedstawicielstwem naszych rodaków przy organizowaniu wyjazdu. Jako cel naszej podróży określono miasto Uralsk położone w północno-zachodnim Kazachstanie. Jak się później okazało, ten cel podróży był całkiem teoretyczny, gdyż faktycznie pojechaliśmy omijając Uralsk do Uzbekistanu. Komendant posiołka zachęcał Polaków, by pozostali w miejscu zsyłki jako ludzie wolni i dalej pracowali dla przedsiębiorstwa *Onegales*. Widać było, że ubytek taniej siły roboczej, jaką stanowili polscy zesłańcy, może poważnie zakłócić możliwości wykonania

planów produkcyjnych tego przedsiębiorstwa i w rezultacie przemysł nie otrzyma w dostatecznej ilości ważnego surowca, jakim jest drewno. Okazało się jednak, że nikt z Polaków nie chciał pozostać - nawet taki zausznik władzy i denuncjator, jakim był Chajan. Ale dla Chajana dobre czasy się skończyły, wyzwoliliśmy się spod władzy NKWD i gdyby on pozostał tam w tajdze, musiałby iść do ciężkiej pracy *les-soruba*, by zarobić na życie. Dlatego i on zadeklarował chęć wyjazdu razem ze wszystkimi. Mój Ojciec po amnestii wysłał pismo do Komendantury Rejonowej NKWD w Onedze z prośbą o zwrot jego akt personalnych, które zostały tam przesłane przy deportacji, uzasadniając potrzebę ich posiadania tym, że jako człowiek amnestionowany będzie mógł, mając te akta, udokumentować swoje kwalifikacje, by móc pracować w swoim zawodzie. Komendantura w Onedze nie odpowiedziała na tę prośbę. Kiedy nastąpi wyjazd nie wiedzieliśmy, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że jazda pociągiem towarowym będzie długa i konieczne jest zdobycie zapasów żywności na przeżycie wielu tygodni w podróży. Pięcioosobowa rodzina potrzebuje dużo jedzenia. Dodatkowym zmartwieniem była choroba Ojca, który został wypisany ze szpitala nie wyleczony i był niezdolny do jakiegokolwiek działania związanego z przygotowaniami do podróży.

Stąd większość czynności związanych ze zdobywaniem zapasów żywności spadła na Mamę i częściowo na mnie i brata. Pojawiło się sporo Rosjan w naszej osadzie zainteresowanych kupnem damskich rzeczy, których jeszcze trochę zostało na sprzedaż. Udało się co nieco sprzedać i przybyło trochę rubli. Niestety na miejscu w Szombierze, gdzie był sklepik z pustymi półkami nie można było za te pieniądze nic kupić. Do najbliższej wsi Wierchowje było 15 km, czyli zbyt daleko, by można było tam pieszo dojść i przydzwigać zakupione od miejscowych ludzi towary spożywcze. Postanowiliśmy skorzystać z nowo wybudowanej linii kolejowej, którą już jeździły pociągi to-

warowe, a czasami i osobowe. W odległości trzech kilometrów od Katiszcza - idąc na skróty - była stacja kolejowa Głazanicha, na której pociągi stawały, a kolejna stacja Tiesowka była w odległości jedenastu kilometrów w kierunku miasta Onegi. Postanowiliśmy pojechać pociągiem do Tiesowki z nadzieją na sukcesy handlowe. Do tej Tiesowki zrobiłem z Mamą dwa lub trzy wypad. Braliśmy ze sobą trochę rzeczy na sprzedaż i na handel wymienny.

By się dostać do Tiesowki trzeba było najpierw przejść z Katiszcza przez tajgę dwa kilometry do linii kolejowej. Po drodze mijaliśmy chatkę, w której mieszkał samotnie Rosjanin o nazwisku Czortow. Nie wiadomo było z czego Czortow żyje i jak sobie radzi w zimie, ale ludzie mówili, że poluje, a także jest jakby strażnikiem leśnym i ma środki na utrzymanie. Gdyśmy doszli do linii kolejowej trzeba było jeszcze przejść wzdłuż toru około jednego kilometra, by dojść do stacji Głazanichy, gdzie musieliśmy wiele godzin czekać aż się pojawi jakiś pociąg towarowy. A gdy taki nadjechał późnym popołudniem i się zatrzymał, wtedy wskoczyliśmy do jednego z wagonów, nie pytając nikogo o pozwolenie. Dojechalśmy tym pociągiem do Tiesowki, gdzie była mała osada składająca się z kilku domów, w których mieszkali ludzie związani z pracą na kolei. Ktoś z miejscowych nam doradził, by iść wzdłuż jeziora do osady odległej o parę kilometrów, w której będzie można zrobić zakupy. Poszliśmy we wskazanym kierunku, ale zaczęło się robić ciemno, więc zawróciliśmy do stacji. I tam wstąpiliśmy do jednego z domów, gdzie nas przyjęła sympatyczna Rosjanka, żona kolejarza, która poczęstowała nas herbatą, zainteresowała się naszym towarem i dokonaliśmy handlu wymiennego. W zamian za damskie bluzki otrzymaliśmy mąkę, kaszę, olej i chyba coś jeszcze. A najważniejsze było to, że Rosjanka nas przenocowała - wprawdzie spaliliśmy na gołej podłodze, ale byliśmy szczęśliwi, że nie musimy nocować na zewnątrz, patrząc w gwiazdy.

Druga wyprawa była jeszcze bardziej udana pod względem handlowym, ale w drodze powrotnej do naszej stacji Głazanichy dotarliśmy wieczorem, gdy było już ciemno. Zdecydowaliśmy, że pójdziemy przez tajgę nocą i spróbujemy przejść te dwa kilometry od linii kolejowej do Katiszcza po ciemku. Niestety, gdyśmy doszli do ścieżki prowadzącej od torów kolejowych do naszej osady, okazało się, że w takich ciemnościach nie mamy szansy dojść do celu i trzeba będzie usiąść pod drzewem i czekać do rana. Ale mój brat wpadł na pomysł jak pokonać ciemności. Zaproponował, by spróbować oświetlić ścieżkę, a do tego najlepiej się nadawała kora brzoźowa, której było pod dostatkiem, a zapalki mieliśmy ze sobą. Zerwaliśmy z kilku drzew brzoźowych dużo białej kory, zapaliliśmy jeden kawałek i się okazało, że kora bardzo dobrze się pali i daje tyle światła, że można będzie widzieć przed sobą parę metrów ścieżki. Idąc powoli szczęśliwie dotarliśmy do naszego baraku.

Na początku października 1941 r. otrzymaliśmy z Komentury informację, że w najbliższych dniach nastąpi wyjazd mieszkańców naszych obydwu posiołków ze stacji Głazanichy na południe Związku Sowieckiego i trzeba się przygotować do podróży. W końcu dostaliśmy zawiadomienie, że należy udać się do Głazanichy z rzeczami, gdzie specjalny pociąg zostanie podstawiony. Do Głazanichy mieliśmy z Katiszcza – idąc drogą przez Szmboziero – pięć kilometrów, ale ponieważ Ojciec był poważnie chory, a Mama wprawdzie odzyskała kondycję zdrowotną, lecz do dźwigania ciężarów się nie nadawała, stąd sprawy transportu rzeczy do pociągu spadły na mnie i na mego brata Zbyszka. Musieliśmy to wszystko przenieść na własnych plecach, a było tego sporo, bo oprócz rzeczy osobistych, było tam dużo artykułów spożywczych przygotowanych na podróż. Wprawdzie 6 października ukończyłem już trzynaście lat, ale byłem mały oraz niedożywiony, z wieloma niegojącymi się ranami na ciele i

praca przy transporcie naszego dobytku była dla mnie ponad siły. Do dzisiaj pamiętam, jak się umordowaliśmy tym dźwiganiem. Obróciliśmy z bratem dwa razy i donieśliśmy rzeczy na stację. Wszyscy ludzie oczekujący na podstawienie pociągu próbowali się zmieścić w niewielkim budynku stacyjnym. Ale pociągu jeszcze nie było i całą noc koczowaliśmy na tej stacji, a było nas około czterystu osób. Wśród nas oczekujących była jedna kobieta umierająca, która leżała na podłodze stacji i widać było, że życie z niej ucieka. Wreszcie następnego dnia, to jest 13 października 1941 roku, podstawiono piętnaście wagonów towarowych. Było nas wyjeżdżających około 420 osób. W jednym wagonie musiało się zmieścić przeciętnie około 27 osób. Były to wagony przystosowane do przewożenia ludzi, miały bowiem dwa okienka z przesuwaną szybą, dwupoziomowe prycze i żelazny piecyk na środku wagonu. Takich wagonów Sowici mieli w zapasie wielką ilość jako pozostałość z okresu czterech deportacji Polaków z roku 1940 i 1941.

13 października 1941 roku żegnaliśmy tajgę pozostawiając tam cały ciężar zmartwień i nieszczęść, które nas dotknęły w ciągu 20 miesięcy od dnia deportacji, ale wreszcie mieliśmy nadzieję na poprawę naszego losu, choć była to tylko nadzieja.

Na zakończenie opisu naszego pobytu w obwodzie archangielskim, chciałbym spróbować ustalić, co się stało z ogólną ilością 1818 osób wywiezionych jednym transportem z Wołkowyska. Z tej liczby do Szomboziera i Katiszcza trafiło około 500 osób, a druga grupa rodaków w liczbie ponad 600 osób, która przyjechała z nami do stacji Kodino, a następnie do wsi Wierchowje, została skierowana do Tuszyłowa, miejscowości położonej w głębi tajgi nad jeziorem o nazwie Kożoziero, w odległości 135 km na południe od miasta Onegi. Oni w Tuszyłowie, podobnie jak my w Szombozierze zajęli baraki opuszczone przez ukraińskich *trudposielenców*. Ale duża grupa

Ukraińców pozostała w pobliżu Polaków, mieszkając w swoich barakach po drugiej stronie jeziora. Amnestia z sierpnia 1941 roku, chyba do tych Polaków z Tuszyłowa nie całkiem dotarła, na co wskazuje fakt, że bez mała wszyscy oni zadeklarowali, że chcą po amnestii pozostać w dotychczasowym miejscu pobytu i nie zgłaszają chęci wyjazdu na południe ZSRR¹⁰.

Trzecia grupa ludzi jadących eszelonem z Wołkowyska trafiła prawdopodobnie do dwóch posiołków: Małyje Izby i Wołczanica. Byli to ludzie, którzy w lutym 1940 r. nie dojechali z nami do ostatniej stacji w Kodinie, a zostali wcześniej odłączeni od naszego eszelonu i skierowani do wyżej wymienionych posiołków.

¹⁰ Red. Ewa Rybarska, *Deportowani w obwodzie archangielskim. Część 1. Alfabetyczny wykaz 9320 obywateli polskich wywiezionych w roku 1940 z obwodu białostockiego*, Warszawa, s. 88-745.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Podróż do Kazachstanu

Nasz wyjazd z Głazanichy nastąpił niezwłocznie po zakończeniu załadunku. Nie było tutaj jeszcze zimy, ale w dniu wyjazdu zaczął padać pierwszy śnieg. Wzięliśmy kierunek na południowy wschód i przez Kodino dojechaliśmy do Obozierska, a stamtąd linią Archangielsk - Moskwa dojechaliśmy do Wołogdy, dużej węzłowej stacji. Z Wołogdy pojechaliśmy na wschód w kierunku Gór Uralskich i po wielu dniach jazdy dotarliśmy do Swierdłowska (Jekaterynburga), dużego miasta za Uralem, a stamtąd do Czelabińska. Nasz pociąg towarowy jechał poza wszelkim rozkładem jazdy, często długo stojąc na bocznym torze i przepuszczając inne ważniejsze transporty. Była to linia kolejowa odległa od frontu i samoloty niemieckie tu nie docierały, a więc nie było bombardowań i jechaliśmy całkiem bezpiecznie. W tym czasie władze sowieckie ewakuowały za Ural wiele fabryk z terenów zagrożonych zajęciem przez Niemców i ta ewakuacja odbywała się w znacznej części tą linią kolejową, którą myśmy teraz jechali.

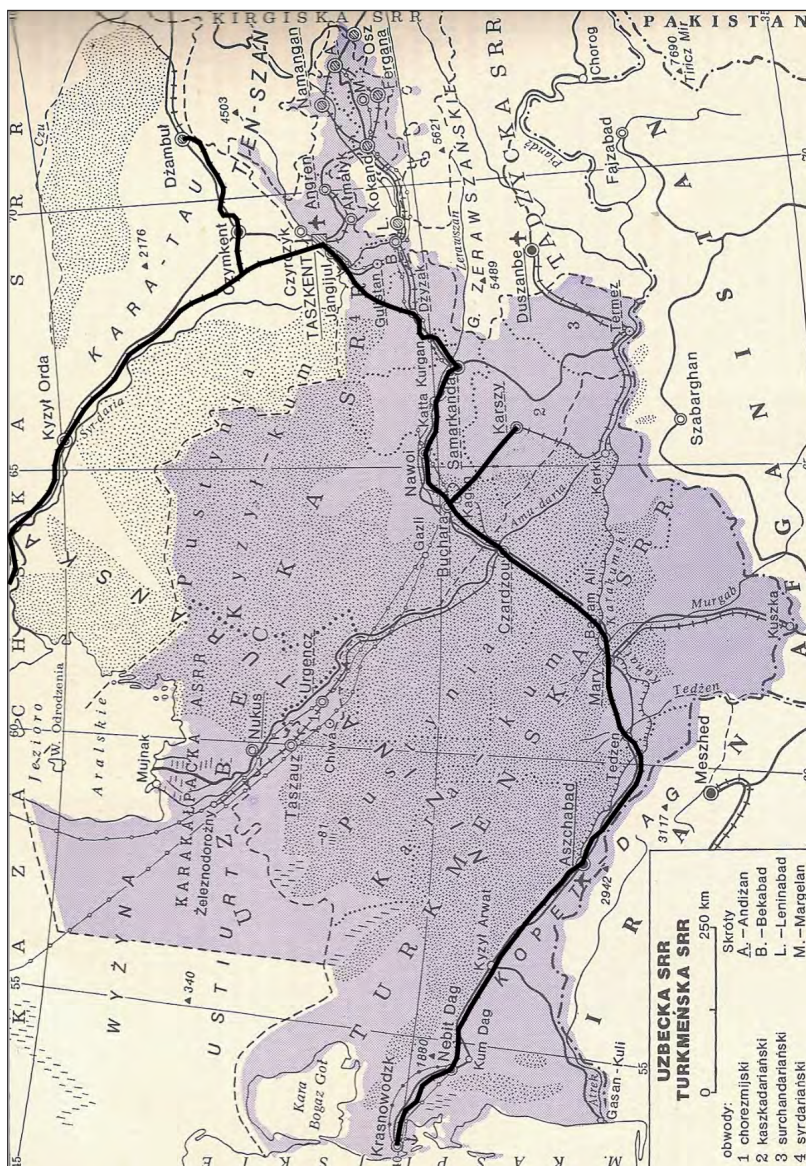
Jazda była cały czas niepewna. Nie wiadomo było, kiedy pociąg stanie i kiedy ruszy, co utrudniało zrobienie zakupów żywności, a także była obawa, że się nie zdąży wsiąść do odjeżdżającego po-

ciągu. Przedstawiciele naszej grupy amnestionowanych Polaków jadących do Uralska mieli odpowiednie zaświadczenie, które dawało podstawę do uzyskania przydziału chleba na większych stacjach. Pamiętam, że pierwszy chleb udało nam się kupić zbiorowo dla całego transportu dopiero po dwóch tygodniach podróży w Swierdłowsku (Jekaterynburgu), gdzie mieliśmy dłuższy postój. Wszyscy rzucili się na ten chleb, a musieli być mocno głodni, bo widać było, że prawie każdy dławił się tym chlebem jedząc zbyt szybko. Następną dużą stację, jaką był Czelabińsk, dobrze pamiętam, gdyż poszedłem z bratem do centrum miasta. Były tam szerokie ulice, kilkupiętrowe budynki mieszkalne, ale w sklepach nie było nic. Jednak udało nam się kupić coś, co miało dużą wartość handlową - były to zapalki, których kupiliśmy kilkadziesiąt pudełek. W dalszej podróży zapalki stanowiły cenny towar wymienny. Niektórzy z naszych Polaków w czasie podróży kupowali żywe zwierzęta, takie jak cielęta lub owce i na bocznym torze, gdzie stał pociąg, je zabijali, a następnie oprawiali i w rezultacie mieli dobry posiłek. Ale byli to ludzie, którzy przed wywózką zajmowali się rolnictwem i hodowlą i obecnie mogli wykorzystać swoje kwalifikacje związane z ubojem. Na każdej nieco większej stacji był punkt z kranem i napisem: *kipiatok*, czyli wrzątek i każdy mógł za darmo nabrać gorącej wody. Dzięki zrobionym zapasom mąki i kaszy nie głodowaliśmy w podróży, ale trudno było kupić w miejscach postoju pociągu jajka, masło, mięso lub ziemniaki czy warzywa. Parę butelek oliwy zdobytej przed wyjazdem trochę ratowało sytuację, ale nie na długo.

Nikt nie zauważył, kiedy omijając Uralsk, który był celem naszej podróży znaleźliśmy się w Kazachstanie i jadąc na południowy wschód zbliżyliśmy się do Jeziora Aralskiego, a następnie jadąc dalej na południe znaleźliśmy się w Uzbekistanie i dotarliśmy do Taszkentu, stolicy tej republiki. Był już listopad, ale tu było dość ciepło. Na

małych stacjach miejscowi sprzedawali owoce i warzywa a nawet ro-dzynki - *kiszmisz*. Był to region, gdzie panował ciepły klimat i uprawiano winogrona, kawony i bawełnę.

Z Taszkentu pociąg nasz skierował się na południowy zachód i dojechaliśmy do Samarkandy, dużego miasta, mającego sporo orientalnych zabytków i długą historię swoich dziejów począwszy od czasów starożytnych. W tym czasie nikt z nas się nie interesował zwiedzaniem zabytków, a gdy pociąg się zatrzymał w Samarkandzie na stacji towarowej, ludzie nasi rozbiegli się w kierunku miasta, żeby coś kupić. Ja również z moim bratem Zbyszkciem pobiegłem w kierunku dworca kolejowego, by coś kupić do jedzenia. Udało nam się zrobić zakupy, ale gdyśmy wrócili do miejsca, gdzie stał nasz pociąg, okazało się, że pociągu nie ma. Przeszukaliśmy cały teren stacji, ale niestety pociągu nie było, a kolejarz poinformował nas, że jakiś pociąg towarowy wiozący ludzi odjechał w kierunku Buchary. Postanowiliśmy dogonić ten pociąg jadąc pierwszym lepszym pociągiem osobowym w kierunku Buchary, oczywiście bez biletu. Zbliżał się wieczór i zaczęło się robić zimno, a my nie mieliśmy na sobie ciepłego ubrania i czekała nas podróż nocą. Ale największym naszym zmartwieniem było to, czy w ogóle zdołamy odnaleźć pociąg, który nie miał żadnych znaków szczególnych, ani nie miał określonej stacji docelowej. Wkrótce zjawił się na stacji pociąg osobowy, który miał jechać do Buchary. Wsiedliśmy do jednego z wagonów, ale zanim pociąg ruszył, zjawił się konduktor, który nas brutalnie wyrzucił z wagonu, zamykając drzwi. Pozostaliśmy na zewnątrz kombinując, co dalej począć. Gdy pociąg ruszył, wskoczyliśmy na stopnie wagonu i na nich się usadowiliśmy. I tak zaczęła się nasza nocna podróż. Zrobiło się bardzo zimno, a trzeba pamiętać, że była to już trzecia dekada listopada - i w czasie jazdy wiatr nas dodatkowo mroził. Pociąg rzadko się zatrzymywał, gdyż był to pociąg pospieszny, ale gdy



Trasa naszej podróży przez Kazachstan, Uzbekistan i Turkmenistan naniesiona na mapę. Mapa zaczerpnięta z Encyklopedii Powszechnej PWN, Warszawa 1976 r.

się zatrzymywał na większych stacjach, zeskakiwaliśmy ze stopni, by nie wpaść w ręce konduktora, a następnie, gdy pociąg ruszał, znowu byliśmy na stopniach. Po przejechaniu trzystu kilometrów, nad ranem dojechaliśmy do Buchar. Niestety naszego pociągu tam nie było. Na szczęście, po kilku godzinach udało nam się go odnaleźć na stacji towarowej - widocznie jechał wolniej od naszego pociągu pasażerskiego i pozostał w tyle. Było to wielkie szczęście, że się odnaleźliśmy. Gdyby się to nie udało, pozostalibyśmy całkowicie zagubieni, rozdzieleni z rodziną i bez szansy odnalezienia się w przyszłości. Nie znaliśmy nazwy miejscowości, do której nasz transport zmierzał. W tym czasie do Uzbekistanu przyjechało ponad sto tysięcy obywateli polskich zwolnionych ze specposiłków i łagrów i byli oni kierowani do kołchozów i fabryk, jako siła robocza.

Z Buchar nasz transport został skierowany do miasta Karshi, położonego w południowo-wschodniej części Uzbekistanu. I tu nastąpił wyładunek. Wszyscy nasi pasażerowie zostali skierowani z tobołami do małego parku znajdującego się przy stacji i tu mieliśmy czekać na dalsze decyzje co do celu naszej podróży. Był już koniec listopada, w podróży byliśmy półtora miesiąca. W tym czasie ani razu nie wykąпалиśmy się, a wszy stanowiły wielkie udręczenie. Po paru dniach naszego koczowania w tym parku, przyszła wiadomość, że jest nowy eszelon na stacji, do którego mamy się załadować. Jak się później dowiedziałem, Państwowy Komitet Obrony ZSRR podjął decyzję, by nadmiar Polaków, którzy przyjechali do Uzbekistanu, wycofać do Kazachstanu. I nasza grupa, która przyjechała w komplecie z rejonu Onegi została objęta tą akcją przemieszczenia do Kazachstanu. Ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą przez Bucharę, Samarkandę Taszkient do Arys, a stamtąd przez Czymkent na wschód w kierunku Dżambułu. Po drodze były odłączane pojedyncze wagony i ludzie z nich byli kierowani do kołchozów wytypowanych do przyje-

cia Polaków.

Podróż nasza pociągiem trwała trzy doby i pewnej nocy, gdy pociąg się zatrzymał na dłużej na jakiejś małej stacji, padła komenda: Wyładowywać się! Po wyładowaniu na tej małej stacji, zostaliśmy załadowani na wozy drabiniaste zaprzęgnięte w woły i ruszyliśmy pośród ciemnej nocy w kierunku jakiegoś nieznanego nam celu. Kazach powożący wozem często pokrzykiwał na woły słowami *cop, cobe*, a woły wiedziały, że jest to rozkaz, by skrócić w prawo lub w lewo - było to nasze polskie *hejta, wišta*. Po paru godzinach jazdy dotarliśmy do wioski kazachskiej. Była ciemna noc, wyładowaliśmy się z wozu i przenieśliśmy nasze rzeczy do jakiegoś większego pomieszczenia będącego czymś w rodzaju świetlicy. Był to już koniec naszej podróży znad Morza Białego do Kazachstanu. Podróż trwała od 13 października do 1 grudnia, czyli siedem tygodni i w tym czasie przejechaliśmy sześć i pół tysiąca kilometrów.

Gdy nastał dzień, pojawił się w naszej świetlicy ktoś z władz kolchozu i zaczął przydzielać poszczególne polskie rodziny do gospodarzy kazachskich, u których te rodziny miały zamieszkać. Kazachowie w tej wiosce mieszkali w wolnostojących domach zwanych kibitkami, z płaskim dachem, składających się z jednej izby, zbudowanych z niewypalanej cegły. Trafiliśmy do gospodarzy, którzy mieszkali w izbie posiadającej podłogę z ubitej gliny, przy ścianie znajdował się murowany piec z dużym kotłem żeliwnym, w kształcie wielkiej misy, wpuszczonym do środka pieca. W kotle tym gotowało się wszystko, zarówno zupę jak również wodę na herbatę. W izbie nie było ani stołu, ani krzeseł, tylko maty do siedzenia i do spania. Na prawo od wejścia do izby gospodarzy znajdowała się przybudówka w postaci takiej większej komórki, nie posiadającej okna, mającej podłogę z gliny, przypuszczalnie służąca za magazyn na zbiory z pola i ta komórka została nam przydzielona jako miejsce zamieszkania. Był już

początek grudnia i zima zaczęła nam dokuczać. Nie mieliśmy w naszej komórcie pieca ani żadnych mebli, więc mogliśmy tam tylko leżeć na słomie rzuconej na glinianą podłogę, bez możliwości ugotowania czegokolwiek do jedzenia. Nasza Kazaszka była bardzo nieufna do nas, ale kilka razy pozwoliła zagotować wodę w jej wielkim kotle, lecz trzeba było za to zapłacić każdorazowo pudełkiem zapalek - tych zapalek, które kupiliśmy ze Zbyszkim w Czelabińsku. Do palenia w piecu używało się tak zwanych *kiziaków* to jest krowich odchodów wysuszonych na słońcu. Kołchoz był położony na stepie, gdzie nie było żadnych drzew, w związku z czym używano tylko takiego dostępnego tam opał. Pola kołchozu były nawadniane w sezonie wegetacji roślin wodą rozprowadzaną *arykami*, czyli takimi rowami, którymi woda była dostarczana z pobliskiej rzeki. Blisko kołchozu znajdowała się dość wysoka góra, na którą już w pierwszym dniu po przyjeździe wszedłem będąc ciekawym, jak wygląda okolica. Rozglądając się stwierdziłem, że kołchoz jest położony niedaleko dużego miasta. Tym miastem był Dżambuł odległy o 11 kilometrów.

Mama miała świadomość, że musi działać, jeśli chcemy przeżyć nadchodzącą zimę, a w pierwszej kolejności musi ratować Ojca, który był ciężko chory. Nie wyleczony w czasie pobytu w szpitalu w Czekujewie w sierpniu, był w coraz gorszej kondycji podczas siedmiodniowej podróży wagonem, z którego nie miał siły wychodzić w czasie postoju pociągu, tylko leżał na dolnej ciemnej pryczy. Zaczął pluć krwią, a także opuchlizna nóg zaczęła sięgać coraz wyżej. Do tego doszły te skrajnie ciężkie warunki życia w kołchozie. Mama udała się do *presiedatiela* (przewodniczącego) kołchozu, przedstawiła sprawę stanu zdrowia męża i oświadczyła, że musi uzyskać pomoc lekarza. *Predsiedatiel* zgodził się pomóc i dał Mamie wóz zaprzężony w wołu oraz furmana, w celu zawiezienia Ojca do Dżambułu do lekarza. Razem z Ojcem do Dżambułu pojechała Mama i wzięła również

mnie ze sobą, a Zbyszek z Hanią, obydwójce przeziębieni, pozostali w zimnej komórcie sami. W mieście trafiliśmy do jakiejś przychodni, gdzie Ojca od razu zakwalifikowano do leczenia w szpitalu. Również Ojciec otrzymał niezwłocznie środek transportu w postaci podwojki konnej, która miała go zawieźć do szpitala. Wsiadł na furmankę, pożegnał się z nami, a także podał adres szpitala: ulica Sojuz Kaszczi i szybko tym wozem odjechał. Ja i Mama tego samego dnia wróciliśmy pieszo do naszego kołchozu. W następnych dniach Mama przystąpiła do sprzedaży rzeczy, których jeszcze trochę pozostało, gdyż zaczęło nam brakować rubli. Za dobrą cenę sprzedawała granatowy płaszcz, typu mundurek ucznia liceum z czerwonymi lampasami przy kołnierzu i przy rękawach, który kupiła Kazaszka dla swojej prawie dorosłej córki. Wszyscy Kazachowie obecni przy transakcji podziwiali jak pięknie ta młoda dziewczyna, z długimi warkoczami, wygląda w tym płaszczu. Warto wspomnieć, że we wrześniu 1939 roku, tuż przed wkroczeniem do Wołkowyska armii sowieckiej, rodzice chcąc wydać złotówki, które w każdej chwili mogły się stać bezwartościowe, kupili takie dwa granatowe płaszcze-mundurki: jeden gimnazjalny z niebieskimi wszywkami, który ja na Katiszczu w zimie nosiłem, a drugi - licealny, który był nienoszony - został teraz tu w kołchozie sprzedany. Wokół tego naszego aulu rozciągał się step stanowiący ziemię uprawną kołchozu, ale teraz w grudniu było na polu pusto. Koło naszej chaty często spotykałem osła chodzącego luzem. Pewnego dnia spróbowałem na niego wsiąść i się na nim przejechać, ale się to dla mnie źle skończyło, bo osioł energicznie bryknął i zrzucił mnie ze swego grzbietu.

Polacy, którzy trafili do kołchozów nie mieli w okresie zimowym żadnej pracy, a władze kołchozu nie miały podstaw ani chęci, by ich żywić, a zatem ich los był praktycznie gorszy niż podczas pobytu w tajdze, bowiem tam była praca i jakiś minimalny dochód. Według

intencji władz, Polacy po amnestii, których przemieszczono z terenów północnych i wschodnich Związku Sowieckiego do Uzbekistanu i Kazachstanu mieli nadal stanowić tanią siłę roboczą, której zaczęło brakować w związku ze stratami wojennymi w ludziach, poniesionymi na froncie i powoływaniem do armii nowych roczników. Poziom życia w kołchozach był bardzo niski, bo i wydajność pracy była tam niska, a należało realizować dostawy obowiązkowe dla Państwa, więc Polacy, którzy się tam znaleźli cierpieli głód i śmiertelność wśród nich była bardzo wysoka. W naszym kołchozie zaczęła się na dobre zima - spadł śnieg i zrobiło się bardzo zimno, a my nie mieliśmy w naszej lepiance pieca. Znajdowaliśmy się w strefie klimatycznej raczej cieplej, ale był to klimat kontynentalny, charakteryzujący się dość ostrymi zimami. Mama zdecydowała, że trzeba odwiedzić Ojca w szpitalu i mimo warunków zimowych wybrała się do Dżambułu wraz ze mną w dniu 22 grudnia 1941 r. Szliśmy pieszo i po dotarciu do centrum znaleźliśmy ten szpital. W biurze szpitala na pytanie Mamy, na której sali leży pacjent Bachmiński, padła odpowiedź, że pacjenta takiego już nie ma, gdyż zmarł 14 grudnia. Gdy Mama zapytała, gdzie został pochowany, otrzymała odpowiedź, że we wspólnej mogile, w której pochowano dziesięć osób. Nie mieliśmy nawet możliwości, by pójść na ten grób, gdyż nikt nie potrafił określić, w którym miejscu się on znajduje, a było to gdzieś poza obrębem szpitala, prawdopodobnie na jakimś cmentarzu miejskim. Bardzo byliśmy załamani tą tragiczną, a niespodziewaną wiadomością. Nie pozostało nam nic innego jak wrócić do naszego aulu, bo tam pozostali Zbyszek i Hania w nieogrzewanej komórce, bez ciepłej strawy i trzeba było się ratować przed dalszymi nieszczęściami. Ale tego dnia już nie zdążyliśmy wrócić i przez całą noc chodziliśmy po różnych knajpach, gdzie było ciepło i gdzie się żywiliśmy tym, co pozostało niedojedzone na talerzu. Następnego dnia ruszyliśmy w drogę powrotną, by przekazać smutną

wiadomość Zbyszkowi i Hani. Ojciec zmarł mając 49 lat. Trzeba to zapisać na rachunek zbrodniczego systemu bolszewickiego, który dążył do eksterminacji Polaków - jednych poprzez strzał w tył głowy, a innych poprzez system pracy przymusowej doprowadzający do utraty zdrowia i życia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pobyty w Dżambule

Mama widząc naszą beznadziejną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, postanowiła, że powinniśmy się niezwłocznie przenieść do Dżambułu (Tarazu). By ten zamiar zrealizować, wybrała się do miasta w poszukiwaniu kwatery. Znalazła tanią kwaterę w domu prywatnym na peryferiach południowo-wschodniej dzielnicy Dżambułu, przy ul. Mołokanowka. Bez kłopotu załatwiła u przewodniczącego kołchozu formalności związane z opuszczeniem przez nas aulu, wynajęła furmankę i pojechaliśmy do naszego nowego mieszkania. Było to w ostatnich dniach grudnia 1941 roku. Nasz pobyt w kołchozie trwał jeden miesiąc i trzeba powiedzieć, że był to najtrudniejszy i najgorszy miesiąc od momentu deportacji. Ulica Mołokanowka nie miała bruku - była to droga gruntowa, w czasie deszczu tonąca w błocie, a wzdłuż niej stały małe domy drewniane, parterowe. Dom, w którym mieliśmy zamieszkać składał się z jednego pokoju, kuchni i obszernej sieni, przez którą się wchodziło do kuchni. My zamieszkaliśmy w czwórce w kuchni, a gospodyni - właścicielka domu, przebywała z dziećmi w swoim pokoju i równocześnie korzystała z kuchni, gdy chciała coś ugotować. Na noc rozkładaliśmy w kuchni pościel na podłodze, choć wolnego miejsca nie było tam wiele. Gospodyni na-

sza - *chazijka*, była Rosjanką, posiadającą trzech chłopców w wieku: trzy, sześć i dziesięć lat. Mąż jej został niedawno zmobilizowany do wojska i przebywał w pobliskim mieście Ługowoje, gdzie przechodził przeszkolenie wojskowe, po zakończeniu którego miał jechać na front. Za tę naszą skromną kwaterę trzeba było płacić czynsz, ale nie pamiętam ile to było, choć myślę, że niewiele.

Nasze życie na Mołokanowce było nieporównanie lepsze niż w czasie siedmiu tygodni podróży spędzonych w wagonie czy też w okresie ostatniego miesiąca przebywania w kołchozie. Bardzo ważne było to, że tu dostaliśmy dla całej rodziny kartki na chleb. Kartki na chleb wydawał *ULKOM*, czyli komitet zarządzający sprawami mieszkańców ulicy. Był to jednoosobowy komitet, z którym nasza *chazijka* była zaprzyjaźniona, czego wyrazem były podwójne kartki na chleb, jakie otrzymywała dla swojej rodziny.

Nasza gospodyni miała około trzydziestu lat i była szczupłą, ładną kobietą, pięknie grała na gitarze i ładnie śpiewała. Zaczęła mnie uczyć gry na bałajce, takim rosyjskim instrumencie muzycznym, trzysstrunowym, podobnym do mandoliny. Nieźle opanowałem na bałajce kilka melodii. Cały czas nasza gospodyni oczekiwała na przyjazd do Dżambułu pociągu, którym będzie jechał na front jej mąż, po zakończeniu szkolenia wojskowego. Oprócz niej było wiele kobiet z Dżambułu, które szykowały się do spotkania swoich mężów jadących na front, ale termin tego spotkania (*wstriezczanija*) był ciągle przesuwany. Aż w końcu nadeszła wiadomość, że wojsko już jedzie w kierunku Dżambułu. I odbyło się to spotkanie - pożegnanie, a nasza gospodyni wróciła do domu uspokojona.

Z chłopcami naszej gospodyni żyliśmy w zgodzie. Ja na noc ubierałem do spania - zgodnie z polskim obyczajem - koszulę, ale ci rosyjscy chłopcy ciągle się dziwili, że ja śpię bez spodni (*on bies sztanow spit*). Ci chłopcy - zgodnie z rosyjskim obyczajem - szli spać

w spodniach, tych spodniach, które nosili w dzień. Ten najmłodszy, trzyletni Kola, miał bardzo duży brzuch i chodził po domu całkiem bez spodni, z tym brzuchem na wierzchu, a brzuch mu urósł na pewno z powodu złego odżywiania. Mieszkanie w kuchni miało dla nas tę zaletę, że było tam dość ciepło. Nasza gospodyni, gdy tylko pożegnała męża odjeżdżającego na front, zaczęła urządzać w swoim pokoju częste libacje. Schodziło się do niej kilka osób, pili spirytus rozcieńczony wodą, którego cena była tu bardzo niska, ona grała na gitarze i śpiewała wesołe piosenki. Jedną z tych piosenek pamiętam, a miała ona następujące brzmienie:

<i>Diengi, diengi, diengi</i>	Pieniądze, pieniądze, pieniądze
<i>Siuda dzienuszki druzja</i>	Dajcie mi pieniążki, przyjaciele
<i>A biez dzienieg żyzn płachaja</i>	A bez pieniędzy życie marne
<i>Nie gadidsia nikuda.</i>	I jest do niczego.
<i>Pudry, pudry, kraski</i>	Pudry, pudry, szminki
<i>Siuda pudry biez kanca</i>	Dajcie mi dużo pudru
<i>A biez pudry kak łachudry</i>	A bez pudru tyś łachudra
<i>Nie gadiszsia nikuda.</i>	I jesteś do niczego.

Nasze zapasy pieniędzy uzyskane za sprzedane rzeczy w kołchozie zaczęły się wyczerpywać i zaczęło brakować gotówki na zakup jedzenia. Widocznie nasze odżywianie było bardzo słabe, bo Mama znowu zaczęła chorować - wystąpiły u niej objawy puchliny głodowej, takie same jakie miała na Katiszczu. My młodzi jakoś lepiej znosiliśmy brak witamin i protein, gdyż opuchlizna nas nie atakowała. Jedynym objawem niedożywienia, jaki u siebie zaobserwowałem, to były niegojące się rany na ciele powstałe w miejscu skaleczenia lub zadrapania. Ta moja awitaminoza pojawiła się już wcześniej, w czasie naszego pobytu w obwodzie archangielskim. Również długo nie

mogłem się pozbyć skutków odmrożenia ucha, jakiego się nabawiłem w zimie 1940/1941 r. Ponieważ Mama niedomagała na zdrowiu, a objawiało się to nie tylko puchnięciem nóg, ale również utratą sił, więc sprawami sprzedaży rzeczy na placu targowym musieliśmy się zająć ja z bratem. Mój problem polegał jednak na tym, że buty mi się całkiem rozleciały i nie miałem co ubrać na nogi. Na szczęście wiosna szybko nadeszła i w połowie marca mogłem już chodzić do miasta boso. Szliśmy z bratem na targ, gdzie rozkładaliśmy płachtę, na której kładliśmy rzeczy przeznaczone na sprzedaż. Nie były to rzeczy cenne, dlatego też pieniądze ze sprzedaży nie były wielkie. Na targu zaopatrzenie w żywność było dość dobre - można było kupić warzywa i owoce, a także *kiszmisz*, czyli rodzyнки. Spośród wyboru mięsa przeważała baranina, gdyż Kazachowie prowadzili w kołchozach hodowlę owiec. Ich barany i owce nie miały ogonów, tylko duże tłuste kupry zwisające w dół.

Stan zdrowia Mamy się pogorszył i nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Byłoby na pewno bardzo źle, gdyby nie znalazł się ktoś, kto Mamie i nam wszystkim pomógł. Był to pan Józef Korzeniowski, którego spotkałem przypadkowo w mieście. Pan Korzeniowski mieszkał z żoną i córką w Dżambule, a wraz z nim w paru wynajętych domach mieszkała większa grupa Polaków, w tym trzy rodziny z Szomboziera: Rozwadowscy, Labochowie i pani Wróblewska z dziećmi. Jechali oni razem z nami tym samym transportem, tylko innym wagonem z Karszi do Kazachstanu i udało im się wysiąść w Dżambule, dzięki czemu nie trafili do kołchozu, tak jak my. Gdy spotkałem pana Korzeniowskiego opowiedziałem mu o śmierci Ojca oraz o chorobie Mamy. Od razu zdecydował on, że pójdzie ze mną do naszej kwatery, żeby się zorientować w sytuacji. Przede wszystkim udzielił nam pomocy finansowej dając Mamie pięćset rubli i biorąc w zamian kilim, który miał zbliżoną wartość i który zamierzał sprzedać na tar-

gu. Kazał przy tym kupić jak najwięcej żywności i odżywiać Mamę intensywnie. Również pan Józef podał swój adres zapraszając mnie, bym go odwiedził na ulicy Karasu 2. Faktycznie te pieniądze były bardzo potrzebne, bo mogliśmy za nie kupić dużo pożywnych artykułów spożywczych i Mamie dość szybko zaczęła znikać opuchlizna. W ramach tych zakupów żywności kupiliśmy raz żywego królika, który przez parę dni był trzymany w sieni i była kwestia, kto go będzie umiał zabić. Ja sobie coś przypomniałem, że podobno królika łatwo się zabija uderzając dwoma palcami między uszy. I próbowałem go w ten sposób zabić, ale królik nie zareagował na moje uderzenie palcami między uszy. Trzeba go było zatłuc używając do tego zamiast dwóch palców, grubego polana.

Mając adres pana Korzeniowskiego, postanowiłem pójść na ulicę Karasu, by go odwiedzić. Mieszkał on wraz z żoną i córką razem z rodziną Labochów w małym domku jednoizbowym typu kazachska kibitka. Obok był drugi większy dom wynajęty przez Polaków, wśród których spotkałem panią Jadwigę Wróblewską z córką i synem oraz pana Rozwadowskiego z żoną i córką. Ponadto były tam jeszcze trzy rodziny: pani Jezierska z dwojgiem małych dzieci, której mąż miał w Wołkowysku warsztat naprawczy maszyn rolniczych, pani Stasia Szczawińska wraz z matką i synem Jurkiem oraz pan Mickiewicz - maszynista kolejowy z żoną. Pani Jezierska i pani Szczawińska były w dobrej sytuacji finansowej, ponieważ przebywały na terenie zesłania o rok i cztery miesiące krócej aniżeli nasza grupa z Szomboziera i w związku z tym miały jeszcze dużo rzeczy do sprzedania. Razem w obydwu domach mieszkało dwadzieścia osób, w tym dwanaście przyjechało z Szomboziera/Katyszcza, czyli była to spora kolonia polska. Po moim powrocie do domu zdałem sprawę Mamie jak żyją Polacy w tej polskiej kolonii i szybko zrodziła się myśl, że powinniśmy tam również zamieszkać. Wkrótce Mama wybrała się na ulicę Karasu,

gdzie się spotkała z Jadzią Wróblewską, z którą była zaprzyjaźniona z okresu pobytu na Katiszczu i szybko zapadła decyzja, że zamieszkamy razem z panią Jadzią w jednej izbie. Przeprowadzka szybko doszła do skutku. Pożegnaliśmy się z naszą *chazajką*, u której mieszkaliśmy ponad cztery miesiące - od stycznia do początku maja - i zamieszkaliśmy w nowym miejscu. W tej naszej izbie pani Jadzia spała z dwójkiem dzieci na jednym łóżku, a my zajęliśmy drugie łóżko, na którym było spanie dla Mamy, Zbyszka i Hani, a ja na noc rozkładałem na podłodze bawełniany chodnik i przykrywałem się kożuszkim. Na szczęście w naszej izbie była podłoga z desek - nie to, co w kołchozie!

Nasz nowy dom był położony blisko stacji towarowej, a było to bardzo korzystne położenie, bo na tej stacji znajdowały się hałdy węgla, a węgiel był nam potrzebny do palenia w piecu i gotowania. Ja i mój brat Zbyszek staliśmy się wkrótce dostawcami węgla dla części lokatorów naszego domu. Chociaż trzeba przyznać, że pani Jadzia próbowała kraść węgiel na własny rachunek i parę razy to jej się udało. Na jedną z takich wypraw wzięła ze sobą do towarzystwa moją Mamę, a gdy się znalazły przy hałdzie węgla, pojawił się stróż. Stróż próbował panią Jadzię chwycić, ale ona go popchnęła i on upadł. Obydwie zaczęły uciekać - pani Jadzia jako młodsza i sprawniejsza uciekała przodem, a moja Mama słabsza w nogach, pozostała w tyle i została złapana przez stróża. Stróż zawiadomił milicję i milicja osadziła Mamę w areszcie. Nasi panowie podjęli próbę, by ją wydostać z aresztu. Faktycznie groził jej wyrok więzienia za kradzież mienia publicznego. W sprawę jej uwolnienia z aresztu zaangażował się przedstawiciel Delegatury Polskiej Ambasady, mającej siedzibę w Dżambule i jego interwencja okazała się skuteczna, bo Mamę po kilku dniach zwolniono z aresztu.

Oprócz węgla cennym surowcem opałowym był saksauł, drzewo pustynno-stepowe. Nasza polska kolonia była położona w

poobliżu lotniska, na którym były zgromadzone duże sterty saksaułu. Ktoś z mężczyzn zaproponował, żeby się wybrać wieczorem na lotnisko po saksauł. Ja i mój brat zostaliśmy dokooptowani do zespołu składającego się z trzech mężczyzn organizujących wyprawę. Nie zdążyliśmy dużo tego saksaułu ukraść, gdy się pojawił stróż, a potem ktoś ważniejszy z ochrony lotniska i zostaliśmy zaprowadzeni do jakiegoś biura, gdzie kazali nam czekać na przybycie milicji. Ale nasi zaradni panowie załatwili sprawę polubownie wręczając ochroniarzom jakąś chyba niewielką kwotę i dzięki temu wszystko zakończyło się szczęśliwie.

Mieszkając w tej naszej polskiej kolonii często chodziłem do miasta sam lub z bratem, głównie na plac targowy, w celu sprzedaży resztek naszego dobytku. Pewnego dnia wybrałem się na plac, by coś sprzedać - rozłożyłem na ziemi kocyk, a na nim ułożyłem trochę drobiazgów, wśród których była jedna dość wartościowa rzecz, a mianowicie koszula Ojca. W pewnym momencie stwierdziłem, że zniknęła ta cenna koszula, widocznie ktoś ją ukradł. Niewiele myśląc zwinąłem mój kocyk z towarem, zawiązałem na węzeł i zacząłem chodzić po targu szukając mojej koszuli. Nagle zauważyłem młodego wysokiego mężczyznę, który stał na placu trzymając w rękach rozpostartą jakąś koszulę wystawioną na sprzedaż. Momentalnie się zorientowałem, że on ma na sobie moją koszulę, którą ukradł, a sprzedaje swoją, dość nędzną, którą zdjął z siebie. Natychmiast do niego podeszedłem i zacząłem krzyczeć: *Addaj maju rubaszku!* (Oddaj mi moją koszulę!). Ten odpowiedział, żebym się odczepił i zaczął mnie straszyć, że mnie pobije i nawet się zamierzył, ale już się zebrała wokół nas spora grupa ludzi, otoczyła nas kołem, wszyscy byli po mojej stronie - wierzyli, że on mi ukradł koszulę. Za chwilę zjawił się milicjant i zmusił złodzieja do oddania tego, co ukradł. Miałem też takie zdarzenie, że idąc do miasta napotkałem na swojej drodze chłopca – Kazacha, więk-

szego ode mnie, który zaszedł mi drogę i wyraźnie miał ochotę się ze mną bić, bo coś się mu w moim zachowaniu nie spodobało. Nie było wyjścia, doszło do bójki, która trwała bardzo długo. Nie było zwycięzcy - obaj zakrwawieni i w podartych koszulach przerwaliśmy walkę z powodu utraty sił.

Dżambuł był dużym miastem obwodowym i w jego rejonie znalazło się większe skupisko Polaków mieszkających w kołchozach, a w samym mieście powstała Delegatura Ambasady Rzeczypospolitej, której zadaniem było pomaganie Polakom, którzy się tam zgłoszą, jak również udział w kierowaniu mężczyzn do punktów rekrutacyjnych organizującego się Wojska Polskiego. Umowę wojskową, która dała podstawę do tworzenia Armii Polskiej na terenie ZSRR podpisano 14 sierpnia 1941 r. Dowództwo organizującej się armii umieszczono w Buzułuku, mieście położonym między środkową Wołgą, a południowym Uralem i tam zorganizowano trzy dywizje piechoty. Na początku 1942 r. siedziba dowództwa Armii Polskiej została przeniesiona do Jangijulu, miasta położonego w Uzbekistanie, 30 km na południe od Taszkientu, stolicy Uzbekistanu. W związku z napływem dużej ilości Polaków zwalnianych z łagrów i specposiołków, a także żołnierzy, którzy w 1939 roku trafili do niewoli sowieckiej, organizowano następne dywizje i inne jednostki, a równocześnie te pierwsze trzy dywizje z rejonu Buzułuku przeniesiono na południe, do Uzbekistanu i Kirgistanu. Do wojska przyjmowano także młodzież w wieku od 14 do 18 lat, dla której utworzono oddziały junackie. Do junaków przyjęto 3 tysiące młodzieży. Dowódcą Armii Polskiej został generał Władysław Anders, który czynił starania o wycofanie Armii z terenu Związku Sowieckiego. Uzyskał on zgodę Stalina na ewakuację części zorganizowanych oddziałów (8. 9. i 10. dywizja piechoty) do Iranu. Ewakuacja nastąpiła na przełomie marca i kwietnia 1942 r. i objęła 33 tysiące żołnierzy oraz 11 tysięcy osób cywilnych, razem 44 tysiące

osób.

Mimo że mieszkaliśmy w Dżambule, gdzie się mieściła Delegatura Ambasady i mieszkaliśmy w grupie świątłych Polaków, nasza orientacja na temat organizującej się polskiej armii była znikoma. Mama często odwiedzała Delegaturę, skąd otrzymała niewielką pomoc w postaci koców, ale dążyła ona głównie do tego, by Delegatura wzięła pod swoją opiekę jej dzieci, ponieważ wyczerpały się nasze zasoby materialne - nie było już co sprzedawać. W Delegaturze zdecydowano, że ja i mój brat pojedziemy do miejsca, gdzie stacjonuje polska dywizja i tam prawdopodobnie wojsko nami się zaopiekuje i zostaniemy przyjęci do oddziału junaków. Wraz z przedstawicielem Delegatury w wyznaczonym dniu wsiedliśmy do pociągu i odjechaliśmy w kierunku zachodnim, przy czym nasz opiekun nie informował nas, dokąd jedziemy. Po paru godzinach jazdy dojechaliśmy do stacji o nazwie Czok Pak, gdzie miała stacjonować polska dywizja. Wsiedliśmy na tej małej stacji położonej wśród wysokich zboczy górskich, ale niestety oddziałów wojska polskiego w Czok Paku już nie było. Pozostało tam tylko kilkunastu żołnierzy, którzy porządkowali pozostałości po 8. Dywizji Piechoty, która na przełomie marca i kwietnia została ewakuowana do Iranu. O tym, że w Czok Paku stacjonowała polska dywizja świadczył spory cmentarz i las krzyży mówiący, że nie wszyscy przyjęci do armii przeżyli. Ci zesłańcy zjawiali się zazwyczaj w łachmanach, wygłodzeni oraz wycieńczeni i łatwo ich pokonywały choroby zakaźne szerzące się w oddziałach, takie jak tyfus i czerwonka. Ponieważ w Czok Paku nie miał kto nas przyjąć, musieliśmy wracać, a nasz przyjazd tam, trochę „w ciemno”, świadczył o tym, że nasza Delegatura nie wiedziała, że dywizja stacjonująca w odległości zaledwie stu kilometrów od Dżambułu, została stamtąd wycofana. Chociaż jest prawdopodobne to, że mogli oni w Delegaturze o tym wiedzieć, a próbowali wcisnąć nas na siłę pod opiekę tej małej grupy

wojska, która w Czok Paku pozostała. Chcąc się dostać do junaków samodzielnie, musielibyśmy pojechać aż do Uzbekistanu, gdzie się odbywała dalsza rekrutacja do wojska i do junaków, ale taka możliwość nie była rozważana, ze względu na dużą odległość dzielącą nas od rejonu Taszkientu jak również duże ryzyko wyjazdu w nieznane i rozłąki rodziny.

Lato w 1942 roku w Dżambule było upalne. Wychodząc z domu miałem przed sobą widok na pobliską stację towarową, na której był spory ruch i hałas czyniony przez manewrujące pociągi. Natomiast patrząc w kierunku przeciwnym, czyli południowym, widziałem potężne pasmo górskie z ośnieżonymi szczytami wysokości czterech tysięcy metrów. Były to Góry Tien-Szan, a te ośnieżone szczyty znajdowały się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Dżambułu, chociaż miałem wrażenie, że są bardzo blisko. Zaletą mieszkania w obecnym miejscu przy ulicy Karasu było to, że blisko naszego domu płynęła rzeczka o bardzo czystej wodzie i w czasie tego upalnego lata było to świetne miejsce do kąpieli. Ja i Zbyszek bez końca zażywaliśmy kąpieli pływając i wykonując z wysokiego brzegu skoki do wody „na główkę”.

W tym czasie zaczęli się pojawiać w mieście żołnierze Armii Polskiej. Byli to żołnierze szukający swoich rodzin lub oficerowie łącznikowi poszukujący rodzin wojskowych i organizujący wyjazd tych rodzin, w ramach planowanej ewakuacji do Iranu. Sztab armii mieścił się w Uzbekistanie, w mieście Jangijulu. Dzięki wsparciu strony brytyjskiej i staraniom generała Andersa, 8 lipca 1942 r. Stalin wyraził zgodę na ewakuację całego wojska polskiego do Iranu. W ramach tego drugiego etapu ewakuacji gen. Anders zamierzał również wraz z wojskiem zabrać jak najwięcej ludności cywilnej. Dlatego też wysyłano żołnierzy do większych skupisk Polaków w Kazachstanie i Uzbekistanie, którzy poszukiwali swoich rodzin jak również innych

osób kwalifikujących się do wyjazdu. Do nas, do Dżambułu, wiadomości w sprawie możliwości wyjazdu jakoś nie docierały, a Delegatura również nie wykazywała inicjatywy w tej sprawie. Pani Jadzia będąc kiedyś w mieście spotkała w pobliżu Delegatury polskiego żołnierza, z którym nawiązała rozmowę i ten wojskowy pochwalił się, że właśnie odnalazł w kołchozie odległym o 10 km od Dżambułu swoją żonę z dziećmi i wkrótce jego rodzina wyjedzie do punktu ewakuacyjnego w Uzbekistanie, a stamtąd jest możliwość wyjazdu do Iranu. Pani Jadzia przedstawiła mu swoją trudną sytuację, że jest z dwojgiem dzieci, bez środków do życia i prosiła, o pomoc, by mogła również wyjechać do punktu ewakuacyjnego. Pan Nadański, bo tak się nazywał ten wojskowy, obiecał, że za tydzień zjawi się w Dżambule i przywiezie bilety dla pani Jadzi i jej dzieci na wyjazd do Szachrisabs w Uzbekistanie, gdzie stacjonowała jego 6. Dywizja Piechoty. Rzeczywiście, po tygodniu przyjechał i przywiózł dokument upoważniający do zakupu dziewięciu biletów. Były to trzy bilety dla pani Jadzi oraz dodatkowo sześć biletów nadprogramowych do dyspozycji pani Jadzi. Te dodatkowe bilety pani Jadzia dała pani Szczawińskiej i pani Jezierskiej, mieszkankom sąsiedniego pokoju. Niestety dla Bachmińskich biletów zabrakło. Moja Mama nie odstępowała pana Nadańskiego i przekonywała go, że jest w beznadziejnej sytuacji materialnej, a ponadto zasługuje również na wyjazd, jako żona zasłużonego legionisty, odznaczonego Krzyżem Niepodległości. Przedstawiła dokumenty męża dotyczące służby w Legionach. Pan Nadański obiecał, że załatwi dla nas również bilety i wkrótce przywiezie je ktoś z jego jednostki.

Pani Jadzia oraz panie Szczawińska i Jezierska w ciągu kilku dni wyjechały, a było to gdzieś w połowie lipca 1942 r., a nam pozostało oczekiwanie czy ktoś przyjedzie z biletami dla nas. Ale szczęście nam dopisało! Około 10 sierpnia zjawił się u nas żołnierz łącznikowy i przywiózł ze sztabu armii dokument dający podstawę

do zakupu na stacji biletów kolejowych dla określonej w tym dokumencie ilości osób, z Dżambułu do Jangijulu. W tym czasie w ZSRR nie można było podróżować bez zezwolenia władz, dlatego też chcąc wyjechać z Dżambułu musieliśmy mieć potwierdzenie władz polskich, że nasz przejazd koleją jest uzasadniony. Zgodnie z tym zapotrzebowaniem, biletów miało wystarczyć dla wszystkich mieszkańców naszego domu, ale faktycznie się okazało, że dwóch biletów zabrakło. By wszyscy mogli wyjechać, ktoś musiał jechać bez biletu, czyli na gapę. Padło na najmłodszych, czyli na moją ośmioletnią siostrę i na mnie - mieliśmy być przemyceni bez biletu. Odjazd nastąpił 13 sierpnia po południu. W czasie kontroli biletów przez konduktora, moją siostrę schowano pod ławkę, na której siedziała Mama ze Zbyskiem, a ja jako drugi pasażer jadący bez biletu, gdzieś się chowałem i konduktor nie złapał mnie w czasie podróży ani razu. Takie dwa bilety w cenie 29 r. 10 kop. za sztukę, na które jechaliśmy w cztery osoby, są przechowywane przeze mnie jako jedyna pamiątka materialna z tego okresu.

Do Jangijulu było około 350 km i nasza podróż nie trwała zbyt długo. Znajdował się tam jeden z punktów ewakuacyjnych, skąd Polacy wyjeżdżał transportami kolejowymi do portu w Krasnowodzku (Turkmenbaszy), a stamtąd odbywali dalszą drogę do Iranu statkiem przez Morze Kaspijskie. Gdyśmy wysiedli z wagonu w Jangijulu, bez trudu znaleźliśmy drogę do punktu rejestracji obywateli polskich przewidzianych do ewakuacji. Po zarejestrowaniu, udaliśmy się do miejsca zakwaterowania, gdzie mieliśmy czekać aż przyjdzie na nas kolej. Naszym miejscem zakwaterowania był pobliski park, w którym zajęliśmy miejsce pod drzewem, obok innych ludzi tam zgromadzonych. Na szczęście sierpień 1942 r. był ciepły i pogodny, deszcz nie padał, więc bez narzekania spędziliśmy kilka dni i nocy w tym parku. Spaliśmy na jakiejś płachcie rozłożonej na ziemi. Jangijul był kilku-



Awers i rewers obu zachowanych biletów.

dziesięcioletnim miastem, zamieszkałym głównie przez Uzbeków, położonym nad rzeką Czirczik, przepływającą przez teren zajęty przez polskie oddziały oraz przez cywilów oczekujących na wyjazd. Czekaliśmy na wyjazd cierpliwie cały tydzień, a mając dużo wolnego czasu i darmowe wyżywienie często szliśmy do miasta (oczywiście jedna osoba musiała pozostać przy rzeczach), gdzie na bazarze można było kupić różne południowe owoce, takie jak brzoskwinie, kawony i melony. Siłę pociągową w mieście stanowiły osły i wielbłądy. Blisko miejsca naszego postoju był też polski bazar, gdzie żołnierze sprzedawali swoje racje żywnościowe, a także inne rzeczy. Od takiego polskiego żołnierza kupiłem pewnego dnia dwa metalowe pudełka czekolady - takiej stanowiącej w armii brytyjskiej rację „emergency”, czyli rację ratunkową, którą się spożywa, gdy głód zagląda żołnierzowi w oczy na froncie. Cena była wyjątkowo niska, więc kupiłem dwa pudełka, nie sprawdzając, jak ta czekolada wygląda. Po chwili, gdy żołnierz zniknął, otworzyłem pudełko, a tam było tylko pół czekolady. Sprawdziłem co jest w drugim pudełku, a tam była glina. Trudno - dałem się nabrać.

Nasz pobyt w Jangijulu szczęśliwie dobiegł końca. Na stację podstawiono długi pociąg osobowy, który miał nas zawieźć do Krasnowodzka. Skończył się cały tydzień koczowania pod gołym niebem i czekała nas teraz podróż w kierunku morza Kaspijskiego, od którego dzieliła nas odległość 1800 kilometrów. Pojechaliśmy trasą przez Samarkandę i Bucharę, a następnie wjechaliśmy na terytorium Turkmenii, kraju pustynnego, gdzie wieśset kilometrów pociąg jechał obrzeżem Pustyni Kara-Kum i gdzie po horyzont widać było z pociągu tylko piasek. Minęliśmy stolicę Turkmenii, Aszhabad i po wielu godzinach dalszej jazdy znaleźliśmy się w pobliżu Morza Kaspijskiego. Pociąg zatrzymał się w odległości kilku kilometrów od Krasnowodzka - portu, z którego mieliśmy popłynąć do Iranu - i ka-

zamo nam wysiadać z wagonów bezpośrednio na piach pustyni. Nie było tam żadnej stacji kolejowej ani peronu, tylko zwykły nasyp kolejowy biegnący przez pustynię. Okazało się, że na tym piasku mamy czekać aż przyjdzie wiadomość, że w porcie jest statek, którym mamy płynąć. Na piasku koczowaliśmy chyba dwie doby, a najgorsze było to, że nie było tam wody do picia, a słońce w dzień paliło niemiłosiernie. Miejscowi Turkmeni krążyli z wodą na sprzedaż, żądając za tę wodę astronomicznej ceny. Pojawili się też przedstawiciele sowieckiej służby celnej, którzy żądali oddania rubli, których nie wolno jest wywozić za granicę i twierdzili równocześnie, że w Iranie nic za ruble się nie kupi. Nieliczni Polacy oddawali ruble bojąc się, że przy wejściu na statek zostaną przeszukani i ich wyjazd może być pod znakiem zapytania. Od naszego miejsca koczowania było kilkaset metrów do morza i ja postanowiłem korzystać z kąpieli morskiej. Pierwsza kąpiel była dość symboliczna: wszedłem do wody w moich krótkich, przedwojennych spodenkach, które były pełne dziur, a po kąpieli w morzu i po wyjściu na brzeg ubrałem nowe spodenki, które wyfasowałem przed wyjazdem z Jangijulu.

Wreszcie nasza gehenna na tym piasku i w tym upale dobiegła końca. Nadszedł rozkaz, że mamy iść do portu w Krasnowodzku, bo przycumował statek. Marsz był bardzo ciężki, ponieważ trzeba było przenieść za jednym razem na plecach i w rękach cały nasz dobytek. Dotarliśmy do portu umęczeni upałem i dźwiganiem rzeczy. Stał tam statek towarowy niezbyt wielkich rozmiarów, na którego pokład weszliśmy po trapie, a następnie skierowano nas po schodach w dół do dużej komory ładunkowej. W tej komorze znalazła się tak wielka ilość ludzi, że ręce, nogi i inne części ciała krzyżowały się, a ludzie leżeli jedni na drugich. Do ścisku można było się przyzwyczaić i wszystko było w miarę do wytrzymania do czasu, dopóki statek nie wypłynął na pełne morze. Wtedy zaczęło mocno huśtać i ludzie za-

częli wymiotować. Górny pokład był zajęty przez wojsko i było tam tak gęsto, że chodzenie po pokładzie było prawie niemożliwe. Jakaś ubikacja gdzieś tam na górnym pokładzie była, ale nie mogła ona obsłużyć tak wielkiej ilości pasażerów, a i dotarcie do niej wymagało umiejętności cyrkowca. Do portu w Iranie było pięćset kilometrów i podróż nasza przez morze w tych trudnych warunkach trwała dwie doby.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W Iranie

27 sierpnia 1942 roku, około południa, wpłynęliśmy do portu w Pahlavi na ziemi irańskiej. W latach późniejszych Irańczycy zmienili nazwę tego miasta na Bandar - e Anzali. Wyładunek pasażerów ze statku był wzorowy pod względem organizacyjnym. Ludzie wysiadający ze statku na nabrzeże, byli z miejsca kierowani do oczekujących wojskowych ciężarówek, które po załadunku pasażerów z miejsca ruszały. My również wsiedliśmy po podstawionych schodach na ciężarówkę wyposażoną w ławki do siedzenia i pojazd natychmiast ruszył. Jechaliśmy krótko i dotarliśmy do miejsca naszego zakwaterowania, którym było wielkie obozowisko położone na piaszczystej plaży Morza Kaspijskiego. Znaleźliśmy się w sektorze cywilów, gdzie równoległe do brzegu morza w odległości kilkudziesięciu metrów od brzegu, były postawione długie rzędy daszków pokrytych matami chroniącymi przed słońcem i pod tymi daszkami ludzie przyjeżdżający z portu zajmowali miejsca na piasku, rodzina koło rodziny. W tych szalasach koczowało już wiele tysięcy osób cywilnych i my do nich dołączyliśmy. W drugiej części plaży był sektor wojskowy, gdzie w namiotach byli zakwaterowani żołnierze. Byli tam zakwaterowani również junacy, czyli umundurowana młodzież w wieku od czterna-



Polskie „miasteczko” na piaskach Pahlavi. Na pierwszym planie charakterystyczne „budowle” skłcone z żerdzi. Zdjęcie zaczerpnięte z książki autorstwa Fundacji „Archiwum Fotograficzne Tułaczy”, pt. „Tułacze dzieci”, Warszawa 1995 r.

stu do osiemnastu lat, a ponadto były tam też oddziały kobiece z organizacji zwanej Pomocniczą Służbą Kobiet tzw. „pestki”. Ten wielki obóz, zajmujący po wschodniej części miasta trzy kilometry plaży, był odgradzony od strony zewnętrznej niskim płotem, za którym można było spotkać szakale, które w nocy miały zwyczaj odwiedzać obozowisko, by się posilić.

Ten drugi etap ewakuacji trwał od 8 do 30 sierpnia 1942 roku. Nam się udało wyjechać 27 sierpnia, czyli już w końcowej fazie. W czasie sierpniowej ewakuacji wyjechało do Iranu 45 tys. wojskowych i 25,5 tys. osób cywilnych, razem 70,5 tys. osób. Łącznie w pierwszym i drugim etapie opuściło ZSRR 114,5 tys. osób, w tym 78 tys. wojskowych i 36,5 osób cywilnych¹¹. Jeśli tę liczbę 114,5

¹¹ Norman Davies, Szlak Nadziei, 2015 t, s. 177

tys. porównamy z ogólną ilością amnestionowanych, która wyniosła 389 041 osób¹² otrzymamy wynik pozwalający uznać, że zaledwie 29 proc. amnestionowanych udało się ewakuować do Iranu. Ci, którzy pozostali na terenie Związku Sowieckiego musieli czekać na zakończenie wojny pracując w kołchozach lub w fabrykach, a niektórzy wstąpili do armii Berlinga i walczyli z Niemcami u boku Armii Czerwonej.

A my, przebywając na plaży w Pahlavi, cieszyliśmy się piękną, letnią pogodą. W morzu woda była ciepła, chętnych do kąpieli było wielu. Fala jednak była duża i niektórzy kąpiący się to zlekceważyli, wypłynęli za daleko i nie zdołali dopłynąć z powrotem do brzegu - zdarzyło się kilka utonięć. Najważniejsze było to, że blisko nas mieliśmy kuchnię wojskową, która dostarczała tłuste, kaloryczne posiłki z kotła. Ale to tłuste jedzenie nie wszystkim wychodziło na zdrowie, bowiem ludzie byli niedożywieni i wkrótce zaczęli masowo chorować, chyba z przejedzenia. Ich żołądki nie radziły sobie z tak dobrym jedzeniem. A my mieliśmy duże przywileje w naszej kuchni polowej, gdyż szefem tej kuchni był pan Szkoda, dawny sąsiad Ojca z Polesia, z okresu, gdy Ojciec w latach 1930-1934 pracował tam jako nadleśniczy, a Szkoda był osadnikiem wojskowym i miał w pobliżu nas gospodarstwo. Nasz obóz przejściowy w Pahlavi był ogrodzony od strony miasta i nie mieliśmy kontaktów z miejscową ludnością, natomiast ciągle pojawiali się Persowie - handlarze sprzedający różne owoce, w tym nieznane w Polsce granaty.

Ja i mój Brat, zaraz na początku, wstąpiliśmy do junaków, czyli do oddziałów młodzieżowych wojska. Dopiero w październiku kończyłem czternaście lat, ale tam nikt o metrykę nie pytał, bo mało kto mógł taką metrykę okazać. Ja jako czternastolatek trafiłem

¹² Deportacje obywateli polskich z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w 1941 roku, Instytut Pamięci Narodowej, 2003 r. s. 707



Czarną linią zaznaczono trasę naszej podróży przez Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenię i Iran

do czwartej kompanii, a brat - piętnastolatek - do trzeciej kompanii. Jako umundurowanie dostałem brytyjski *battledress*, stanowczo za duży na mnie, gdyż ja przez prawie trzy lata pobytu w ZSRR niewiele podrosłem i pod względem wzrostu przypominałem jedenastolatka. Spodnie wojskowe, które wyfasowałem zapinałem paskiem wysoko, gdzieś pod pachami. Nie było mundurów dla żołnierzy małego wzro-

stu. Zakwaterowanie mieliśmy na plaży w sektorze wojskowym, mając nad głową tylko daszek chroniący przed promieniami słońca, ale nie chroniący przed deszczem, a spaliśmy na kocach ułożonych na piasku. Moim dobrym kolegą w kompanii okazał się Adam Szkoda, syn tego szefa kuchni polowej z sektora cywilnego, który był znajomym mojego Ojca sprzed wojny, o czym pisałem wcześniej. Z Adamem razem maszerowaliśmy, a także mieliśmy w szalasy spanie obok siebie. Adam był tego wzrostu co ja i też miał kłopoty z noszeniem zbyt wielkiego munduru. Naszą czwartą kompanią dowodził plutonowy, przedwojenny podoficer, który wydawał komendy potężnym głosem i który miał do pomocy kaprała, człowieka bardzo spokojnego i zrównoważonego. Z tym kapralem odbywaliśmy ciągle marsze po plaży, wykonując w ramach musztry różnego rodzaju zwroty i ćwiczyliśmy krok marszowy. Padła komenda: Czwórki w prawo zwrot! Naprzód marsz! I kompania zaczynała maszerować. Z kolei padła komenda: Kompania śpiewa! I wówczas śpiewaliśmy pieśni, których nas nauczył kaprał. Dość często nasza czwarta kompania złożona z czternastoletnich wojaków śpiewała taką pieśń:

*Nie ma wesela, nie ma muzyki, żeby nie było panny Ludwiki!
Panna Ludwika, klawa kobita, każdemu buzi da!*

Dobrze się czułem jako żołnierz generała Andersa do czasu, aż mnie złapała choroba, bardzo przykra, bo była to czerwonka, zwana też dyzenterią. Dalej uczestniczyłem w marszach, ale kondycję miałem coraz gorszą. W dodatku dobra pogoda się skończyła i zaczęły padać deszcze. My, jako wojsko, mieliśmy o tyle lepiej niż cywile, że dysponowaliśmy gumowymi pelerynami przeciwdeszczowymi, które rozwieszaliśmy nad głowami, a cywile mokli, bo maty przeciwsłoneczne, jakie mieli nad głowami, nie chroniły od deszczu. Moje dolegliwości

tak się nasiliły, że trafiłem do szpitala. Szpital mieścił się również na plaży w wydłużonej części sektora wojskowego, a chorzy leżeli w dużych namiotach na żelaznych łózkach gęsto ustawionych w dwóch rzędach w każdym namiocie. Mój pierwszy kontakt z lekarzem był taki, że lekarz spytał: - Co ci dolega? Odpowiedziałem: - Mam krwawą dyzenterię. A on na to: - A skąd ci leci krew? Nie potrafiłem znaleźć odpowiedniego słowa, więc nic nie odpowiedziałem, ale się zorientowałem, że lekarz chce mnie rozweselić. W tym szpitalu przeleżałem około tygodnia i gdy już byłem podleczoney, zostałem przetransportowany wraz z innymi pacjentami, w większej grupie, do Teheranu, stolicy Iranu. Obóz przejściowy w Pahlavi znajdował się w końcu września w fazie likwidacji. Cywile jechali z Pahlavi do Teheranu, a wojsko do Iraku. Pamiątką po pobycie Polaków w Pahlavi jest cmentarz, na którym pochowano 639 osób ewakuowanych z ZSRR. Tyłu ubyło ze 114,5 tysiąca łącznie ewakuowanych w marcu, kwietniu oraz w sierpniu 1942 r.

Mój brat wyjechał ze swoją kompanią junaków w końcu września z Pahlavi do Teheranu, a następnie po krótkim tam pobycie pojechał do Palestyny, skąd następnie został przeniesiony do Egiptu, gdzie w Heliopolis koło Kairu został przyjęty do Lotniczej Szkoły Technicznej. Szkoła ta funkcjonowała na poziomie programu czterech klas gimnazjalnych i dwóch licealnych, poszerzonego o wiedzę z dziedziny lotnictwa. Do szkoły tej uczęszczał przez cztery lata i pod koniec 1946 roku, gdy szkoła została zlikwidowana, wyjechał do Anglii, gdzie służył po wojnie w RAF-ie (Królewskich Siłach Lotniczych) jeszcze dwa lata, do końca 1948 roku, kiedy zakończył służbę wojskową. Zamieszkał na stałe w mieście Derby w Anglii. W 1998 r. Zbigniew Bachmiński odznaczony został przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Ja do Teheranu wyjechałem z Pahlavi 25 września 1942 roku wraz z innymi pacjentami szpitala. Jechaliśmy autobusem przez wysokie góry Elburs, drogą „tysiąca zakrętów”. Po pierwszym dniu podróży zatrzymaliśmy się na noc w Kazwinie. Umieszczono nas wszystkich w jednej wielkiej hali hotelowej, gdzie nie było łóżek, a jedynie perskie dywany, na których - zgodnie z perskim obyczajem - mieliśmy spać człowiek obok człowieka. Po przenocowaniu ruszyli-



Zbigniew Bachmiński - Heliopolis 20.02.1944 r.

śmy w dalszą drogę i w końcu dojechaliśmy do Teheranu. Tu znalazłem się w dużym polskim szpitalu położonym na obrzeżach miasta. W szpitalu była wielka ilość polskich pacjentów, a najbardziej przyciągali moją uwagę niektórzy z nich, snujący się po dziedzińcu szpitala, którzy byli tak wycieńczeni, że rzucały się w oczy ich sylwetki przypominające kościotrupy. Śmiertelność Polaków w Teheranie była duża, o czym świadczy 1937 polskich grobów na cmentarzu wojennym Dulab. Mój pobyt w szpitalu trwał jeszcze około dziesięciu dni. Nie wróciłem już do mojej kompanii junaków, ponieważ Mama po-

stanowiła mnie wycofać do cywila i po wyjściu ze szpitala znalazłem się w polskim Obozie Nr 2 położonym na przedmieściach Teheranu, w pobliżu lotniska wojskowego. Warunki życia w Obozie Nr 2 były prymitywne - mieszkaliśmy w takich barakach-szałasach, w których nie było podłogi, tylko zwykłe klepisko, na którym gnieździły się obok siebie poszczególne rodziny, śpiąc na rozłożonych na ziemi kocach. Zacząłem chodzić do szkoły, do szóstej klasy. Szkoła była pod gołym niebem - siedzieliśmy na deskach ułożonych na ceglach, ale była tablica, która świadczyła, że jest to prawdziwa szkoła. Sąsiedztwo lotniska było dla mnie bardzo atrakcyjne, gdyż mogłem obserwować ciągle akrobacje samolotów odbywające się nad lotniskiem. Były to samoloty myśliwskie dwupłatowe, niezbyt nowoczesne, ale akrobacje wykonywały pięknie. W czasie naszego pobytu w Teheranie ważnym wydarzeniem był przyjazd do Obozu Nr 2 biskupa polowego Józefa Gawliny, który na placu, pod gołym niebem, udzielał zbiorowego bierzmowania. Zapamiętałem też takie zdarzenie, że w mieście przez parę dni słychać było strzały. Nikt nie miał odwagi, by pójść do miasta i sprawdzić, co się tam dzieje. W naszym obozie komentowano to tak, że były to rozruchy spowodowane przez Kurdów, którzy w stolicy wzniecali demonstracje, przeradzające się w wymianę strzałów z wojskiem, a celem tych demonstracji było żądanie przyznania autonomii dla narodu kurdyjskiego zamieszkującego w granicach państwa irańskiego.

Podczas pobytu w Teheranie staraliśmy się z Mamą zwiedzać miasto i obserwować, jak żyją Persowie. Spoglądając z miasta w kierunku wschodnim widziało się potężny szczyt górski Demawend o wysokości 5604 m, górujący nad miastem, okryty białą czapą śniegu i lodowca. Kilka razy byliśmy w centrum miasta, na głównej ulicy Lalezar, oglądaliśmy wystawy sklepowe, a także wstępowaliśmy do meczetu i podziwialiśmy jego piękną architekturę. W Teheranie przebywaliśmy około trzech miesięcy, do czasu wyjazdu do Isfahanu,



Zachowany bilet wstępu do meczetu



Meczet w Teheranie

gdzie Mama otrzymała angaż na stanowisko nauczycielki w jednym z zakładów, w którym przebywały polskie sieroty.

Podróż do Isfahanu pamiętam dość dobrze - mieliśmy do pokonania autobusem ponad 500 km, zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie w obiektach przydrożnych, gdzie za wysokim murem mieściły się *czajchany*, czyli herbaciarnie. Nasz kierowca korzystał z okazji, by w *czajhanie* wypalić *nargila*, czyli fajkę wodną. Niektórzy z naszych towarzyszy podróży obawiali się, że fajka wodna może zawierać narkotyk i kierowca po wypaleniu takiej fajki spowoduje wypadek drogowy. Jechaliśmy przez kraj wyżynny, pozbawiony roślinności, drogą bez większej ilości zakrętów i kierowca - jak się okazało - po wypaleniu *nargila* nie miał kłopotu z prowadzeniem autobusu i szczęśliwie dowiózł nas do Isfahanu.

Isfahan był dużym miastem liczącym 250 tysięcy mieszkańców. Było to miasto z wieloma meczetami i zabytkowym mostem 33-łukowym na rzece Zajanderud łączącym centrum z ormiańską



Zachowany przeze mnie banknot 10 rialów irańskich

dzielnicą Dżulfą. Ja zamieszkałem wraz z chyba czterdziestoma chłopakami na Dżulfie, w dużej parterowej rezydencji otoczonej wysokim murem. Kto był właścicielem tej rezydencji i użyczył jej nam na czasowe zamieszkanie, nie jestem w stanie odpowiedzieć.

W Isfahanie znalazło się około 2700 naszych uchodźców, w większości młodzieży. Zamieszkali oni w prywatnych willach, obiektach zakonnych, a także obiektach wojskowych. Był to bardzo pomocny gest ze strony państwa i społeczeństwa irańskiego, że udało się zakwaterować tak dużą ilość naszych uchodźców w obiektach o dość dobrym standardzie. Zacząłem naukę w pierwszej klasie gimnazjum, „przeskakując” szóstą klasę, do której uczęszczałem w Teheranie tylko dwa miesiące. Moje gimnazjum znajdowało się na Dżulfie, niezbyt daleko od miejsca zamieszkania. Mama była nauczycielką w zakładzie położonym w centrum miasta i często ją odwiedzałem przechodząc mostem 33-lukowym na drugą stronę rzeki.

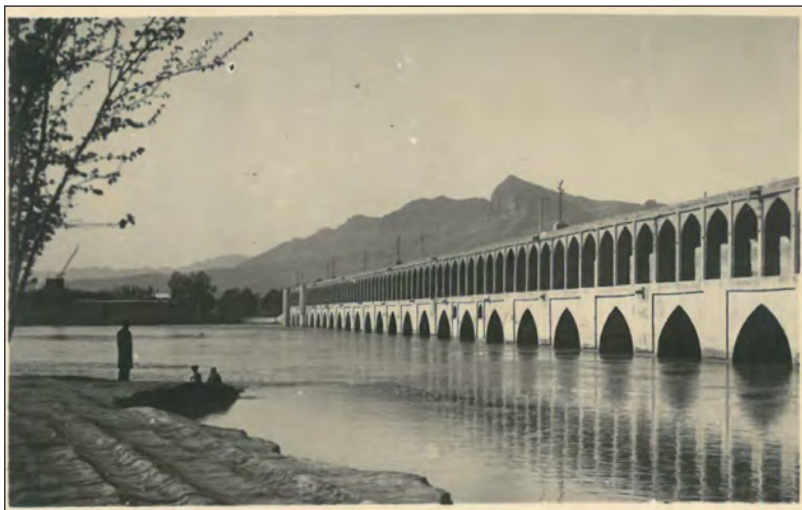
Razem zwiedzaliśmy miasto, byliśmy w paru meczetach, a także podziwialiśmy między innymi prace tamtejszych rzemieślników wykonujących wyroby ze srebra, które były po mistrzowsku



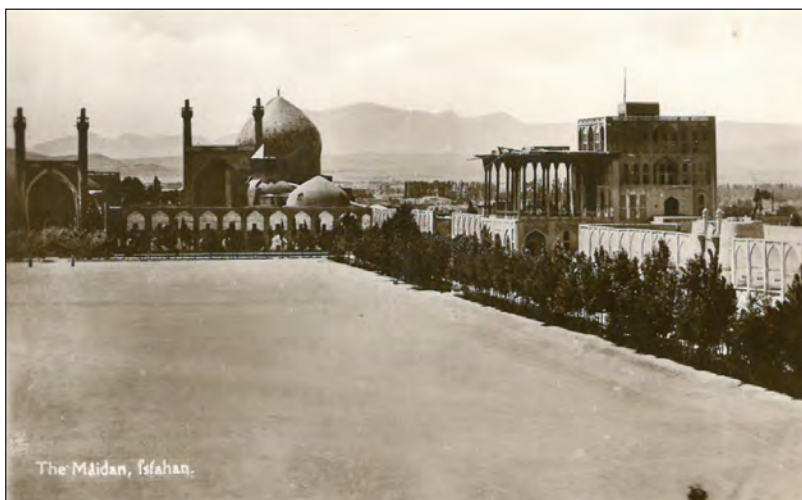
Moja mama Róża Bachmińska, Isfahan 1943 r.

grawerowane. Pamiątkę z pobytu w Isfahanie mam do tej pory w postaci srebrnej papierošnicy Ojca, którą dališmy tym mistrzom do wygrawerowania. Nasze zainteresowanie budziły perskie dywany, które w wielu miejscach były wystawione na sprzedaŹ. PoniewaŹ Mama jako nauczycielka miała skromną pensję, więc było do dyspozycji trochę tomanów na drobne wydatki, a nawet na zakup srebrnej, grawerowanej bransolety. Trzeba dodać, Źe podstawowe wyŹywienie mielišmy podczas całego pobytu w Iranie i później za darmo, dlatego wynagrodzenie za pracę można było przeznaczyć na osobiste wydatki. Na ulicy wszędzie sprzedawano *lepioszki*, rodzaj placków z ciemnej maki, które często kupowališmy, bo były tanie i smaczne. Z owoców najchętniej kupowališmy granaty i suszone daktyle. Rewelacyjny był kryty bazar w Isfahanie, ciągnący się ponad kilometr, gdzie było mnóstwo sklepów i kramów z różnymi towarami, a był tam wielki gwar i hałas, bo sprzedawcy głośno zachwalali swoje towary, a hałas był spotęgowany przez pracujących w warsztatach rzemiešlników uderzających w blachę młotami.

Nasz pobyt w Isfahanie trwał krótko, bo zaledwie siedem tygodni. Zapadła decyzja, Źe mamy wyjechać z grupą pięciuset polskich dzieci do ZwiąŹku Południowej Afryki (RPA). Około połowy lutego 1943 roku wyjechališmy z Isfahanu autobusem na północ do miasta Kum, skąd było połączenie kolejowe z Ahwazem, miastem na południu Iranu, w rejonie Zatoki Perskiej, gdzie mielišmy oczekiwać na przybycie statku, którym mielišmy odpłynąć do Afryki. W Kumie była przerwa w podróŹy trwająca trzy dni zwiąŹzana z oczekiwaniem na przyjazd pociągu w kierunku Ahwazu. Zakwaterowano nas w hotelu i mielišmy czas na zwiedzanie miasta. Kum to piękne miasto orientalne, a najbardziej rzucającym się w oczy obiektem architektury muzułmańskiej w tym miešcie był zabytkowy meczet ze złotą kopułą. Nasza podróŹ z Kumu do Ahwazu odbywała się pociągiem w nocy i



Zachowana pocztówka z Isfahanu z widokiem mostu na rzece Zajanderud



Meczet w Isfahanie

Do Konsulatu R. P. w Brytyjskiej Afryce Wschodniej.
To the Polish Consul in British East Africa.

Nr. 393/16

Okaziciel niniejszego
The bearer of this

BACHMIŃSKI KAZIMIERZ

Nazwisko — Surname

Imię — Christian Name

Wiek 14
Age

Plec M
Sex

Wzrost niski
Height small

Oczy szare
Colour of eyes grey

Włosy blond
Colour of hair fair

udaje się transportem Nr XXXX
z Iranu do Brytyjskiej Afryki Wschodniej.
Ważne na jednorazowy przejazd bez zatrzy-
mania.

Is travelling in group Nr. XXXX
From Iran to British East Africa.
Valid for one single journey without inter-
ruption.

Niniejszy dokument winien być okazany w
Polskim Konsulacie natychmiast po przybyciu.

This document should be immediately pre-
sented to the Polish Consulate on arriving.

Teheran Dnia
Date

FEB 16 1943

Bachmiński Kazimierz
Podpis właściciela
Signature of Holder

Podpis wystawcy
Issuing Officer

Delegatura M.P. i O.S.
w Teheranie.

393/16

Dokument identyfikacyjny wystawiany osobom wyjeżdżającym do Afryki.

była wyjątkowo męcząca, bo byliśmy mocno stłoczeni w przedziale wagonu i w tych warunkach o spaniu nie było mowy. Jechaliśmy przez wysokie pasmo górskie Zagros, a o wschodzie słońca pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji, na której wysiadłem z wagonu, by podziwiać piękny górski krajobraz. Oprócz uroku tych gór oświetlonych wschodzącym słońcem zobaczyłem jak kilku Persów wysiadło z wagonu, rozłożyło swoje dywaniki modlitewne i zwracając się w kierunku Mekki biło pokłony Allahowi. Była to scena godna zapamiętania. Szczęśliwie dojechaliśmy do Ahwazu, gdzie był obóz przejściowy, w którym przebywali Polacy oczekujący na wjazd do Afryki oraz do Indii. Do Afryki wyjechało z Iranu drogą morską 18000 osób a do Indii 4500¹³. Nasz pobyt w Ahwazie trwał 18 dni do momentu, gdy nadeszła wiadomość, że w porcie czeka na nas statek. Wówczas wyruszyliśmy pociągiem do portu w Khorramshahr na rzece Szatt al-Arab. Rzeką ta stanowi końcowy odcinek Eufratu i Tygrysu - dwóch rzek, które łączą się ze sobą w odległości około dwustu kilometrów przed Zatoką Perską tworząc wspólny nurt noszący nazwę Szatt al-Arab. Rzeką jest tu na tyle głęboka, że mogą po niej pływać statki oceaniczne. W porcie czekał na nas duży statek pasażerski *Dunera*, do którego się załadowała grupa 1032 Polaków i w dniu 3 marca 1943 roku opuściliśmy Iran. Nasz pobyt w Iranie trwał pół roku.

Płynąc rzeką Szatt al-Arab mieliśmy niezapomniane widoki – po obu stronach rzeki był wielki las palmowy. Niebawem dopłynęliśmy rzeką do Abadanu, gdzie się zatrzymaliśmy, by zatankować olej napędowy na dalszą podróż. Po opuszczeniu portu w Abadanie wkrótce dopłynęliśmy do Zatoki Perskiej, a następnie płynąc Zatoką Perską dotarliśmy do Cieśniny Ormuz. W Cieśninie był kilkudniowy postój spowodowany tym, że gromadziły się tam liczne statki, które

¹³ Wacław Korabiewicz, *Gdzie słoń a gdzie Polska*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1980 r, s. 174

w konwoju, w towarzystwie niszczycieli, miały wyruszyć na Ocean Indyjski.

Tworzenie konwoju z ochroną niszczycieli było konieczne, ponieważ na Oceanie Indyjskim grasowały niemieckie, a także japońskie okręty podwodne. W cieśninie ktoś z naszych pasażerów zauważył polski statek *Kościuszko*, co wzbudziło wielkie emocje, gdyż widzieliśmy w nim kawałek naszej Ojczyzny, ale kontaktu z załogą statku nie udało się nawiązać. Wreszcie konwój ruszył, ale nasza *Dunera* płynęła w tym zgrupowaniu zaledwie parę dni, bowiem konwój liczący kilkadziesiąt statków popłynął na południowy wschód w kierunku Indii, a *Dunera* w pojedynkę wzięła kurs na Afrykę. Nasz statek często płynął zygzakiem, by nie pozostawiać po sobie wyraźnego śladu na wodzie, który mógłby stanowić informację dla okrętu podwodnego, że jest niedaleko cel do storpedowania. *Dunera* była nieźle uzbrojona – miała na rufie działo dużego kalibru, którym mogła się bronić przed atakami okrętów podwodnych jak również miała dwa gniazda sprzężonych działek przeciwlotniczych, które również



Statek Dunera, długość 157,5 m, prędkość 16 węzłów.

mogły być użyte do ostrzału okrętów podwodnych. W czasie rejsu odbyła się parokrotnie próba strzelania z dział do wyrzuconych za burtę zbędnych skrzyń oraz z działek do baloników wypuszczanych w powietrze. Codziennie odbywał się próbny alarm, na który wychodziliśmy w pasach ratunkowych. Mielśmy też ciągle zbiórki na pokładzie i ćwiczenia prowadzone przez oficera marynarki dotyczące postępowania na wypadek storpedowania. Ja na statku zajmowałem miejsce w trzeciej klasie, co oznaczało, że spałem w hamaku, a kąpiel miałem pod prysznicem ze słoną wodą. Nasz statek zatrzymywał się na krótko w Mombasie, Beirze i Durbanie. Największe wrażenie wywarł na mnie port w Mombasie, gdzie miałem pierwszy kontakt z „czarną” Afryką. W Beirze, porcie należącym do portugalskiego Mozambiku, wysiadła na ląd grupa 513 Polaków, których końcowym celem podróży i miejscem stałego pobytu miała być Lusaka w Północnej Rodezji (Zambii). Ostatni odcinek rejsu z Durbanu do Port Elizabeth odbywał się w rejonie zagrożenia atakiem niemieckich okrętów podwodnych, a tego zagrożenia mogliśmy się domyślać, gdyż cały czas byliśmy patrolowani przez samolot, który nam towarzyszył i obserwował wody oceanu. Szczęśliwie dopłynęliśmy do Port Elizabeth w Związku Południowej Afryki (RPA) i tu był koniec naszej morskiej podróży, która trwała cztery tygodnie. Przez 9 dni pozostawaliśmy jeszcze na statku bez możliwości wysiadania na ląd, ponieważ musieliśmy odbyć kwarantannę, w czasie, której sprawdzano czy nie przywieźliśmy ze sobą jakiejś choroby zakaźnej.

Naszym pierwszym miejscem pobytu było miasto Oudtshoorn w Związku Południowej Afryki (RPA), gdzie się znalazła nasza 500-osobowa grupa dzieci i młodzieży, która wraz z zespołem 29 nauczycieli i opiekunów przyплыnęła *Dunerą* do Port Elizabeth. Na początku 1944 roku wyjechałem wraz z Mamą i Siostrą ze Związku Południowej Afryki do Północnej Rodezji (Zambii). Mama w okre-

sie pobytu w Północnej Rodezji pracowała jako nauczycielka szkoły podstawowej w polskim osiedlu w Lusace, a ja uczęszczałem do drugiej klasy polskiego gimnazjum w Livingstonie i następnie kontynuowałem naukę w gimnazjum i liceum w Lusace i w 1947 roku zdałem maturę. Siostra w tym czasie uczęszczała do szkoły podstawowej. W czerwcu 1947 r. zakończył się nasz ponad czteroletni pobyt w Afryce, zdecydowaliśmy się bowiem na powrót do Polski. Dzieje Polaków w Afryce zostały ciekawie opisane przez Wacława Korabiewicza w książce pt. „Gdzie słoń, a gdzie Polska”, w której są też zamieszczone fragmenty wspomnień mojej Mamy i moje (str. 70-73). Również mój kolega z Rodezji, Eugeniusz Zaliński, opisał obszernie historię naszego pobytu w Afryce w książce pt. „Z Polski do Polski. Przez Syberię, przez Afrykę”. Są to książki warte przeczytania, gdyż przedstawiają one dzieje Polaków, którzy po krótkim pobycie w Iranie znaleźli się w Afryce. Zdecydowałem, że nie będę kontynuował opisu moich przygód, które się wydarzyły w czasie pobytu w Afryce, bowiem moim głównym zamiarem było przedstawienie wyłącznie tego dramatycznego okresu naszego pobytu na zesłaniu, zakończonego momentem szczęśliwego opuszczenia terytorium ZSRR, półrocznym pobytem w Iranie i podróżą do Południowej Afryki. Do Kraju wróciliśmy 25 lipca 1947 roku po prawie siedmioipółrocznej tułaczce.

EPILOG

Na zakończenie chciałbym przedstawić nieco refleksji i faktów związanych z okresem powojennym. Otóż przypadkowo moja Mama odnalazła panią Jadwigę Wóblewską, która wróciła do Kraju z Indii i zamieszkała w Gdańsku. Często odwiedzała nas ona we Wrocławiu, a ktoś z nas będąc nad morzem również odwiedzał ją w Gdańsku. Chętnie rozmawialiśmy na temat naszego wspólnego pobytu na Katiszczu oraz w Dżamblule, dzięki czemu mam utrwalone w pamięci różne szczegóły i nazwiska, które uwzględniam w moich Wspomnieniach.

Bardzo chciałem odwiedzić moje miasto Wołkowysk, z którego byliśmy wywiezieni 10 lutego 1940 roku. Dopiero w 1999 roku nadarzyła się ku temu pierwsza okazja, a następne odwiedziny odbyły się w roku 2016. Pierwszy wyjazd odbyłem w towarzystwie żony, Aliny, autokarem z Wrocławia do Grodna, a dalej z Grodna do Wołkowyska lokalnym autobusem. Zakwaterowanie w hotelu w centrum miasta było mocno poniżej standardów europejskich, co zmusiło nas do skrócenia pobytu. Odwiedziliśmy dom przy ulicy Karczyczna 5 (obecnie Moprauskaja 19), czyli miejsce naszego pierwszego zamieszkania w Wołkowysku w latach 1935 -1936. Rozmawialiśmy z jednym z lokatorów tego domu. Znał on nazwisko przedwojennego właściciela domu, Gołgowskiego i mówił, że ktoś z Gołgowskich przyjeżdżał

z Polski parę razy, żeby obejrzeć dom, do którego Gołgowski utracił prawo własności opuszczając Wołkowysk w 1945 roku, wyjeżdżając do Polski. Jak dom wyglądał w 1999 roku widać na załączonym zdjęciu. Elewacja prezentuje się dość nędznie.

Również odwiedziliśmy dom przy ulicy Wileńskiej 40, gdzie mieszkaliśmy od 1936 do 1940 roku. Rozmawiałem z Rosjaninem, który mieszkał w mieszkaniu zajmowanym przed wojną przez p. Zalewskiego, właściciela domu. Rosjanin, Iwan Grigoriewicz Baszkiriew, zaprosił nas do swojego mieszkania, opowiadał swoją historię, że w czasie wojny z Niemcami służył w artylerii przeciwlotniczej i po zakończeniu wojny pozostał w Wołkowysku, a były tu wolne mieszkania po Polakach przesiedlanych do Polski. Iwan Grigoriewicz zaprosił nas na następny dzień na przyjęcie, które jednak nie doszło do skutku, gdyż postanowiliśmy wracać z powodu fatalnych warunków zamieszkania w hotelu. Starałem się również odwiedzić mojego kolegę szkolnego, Władka Gabrowskiego, który mieszkał obok, przy ulicy Wileńskiej 38, ale niestety nikt nie wyszedł z domu, chociaż Iwan Grigoriewicz nas informował, że jego sąsiad Wałodia tam w tym przedwojennym domu mieszka. Bardzo żałowałem, że nie doszło do tego spotkania.

Drugi mój wyjazd do Wołkowyska nastąpił w 2016 roku. Pojechałem w towarzystwie syna Mariusza oraz wnuka Łukasza. Podróż odbyliśmy samochodem, zakwaterowanie mieliśmy bardzo przyzwoite w bloku, w mieszkaniu przeznaczonym na krótkotrwały wynajem. Odwiedziliśmy rejon domu przy ulicy Karczyna 5. Dom był w dobrym stanie, elewacja została odnowiona, zrobiono porządne ogrodzenie. Rozmawialiśmy z dwoma mężczyznami mieszkającymi, obok, którzy mówili po polsku i mieli Kartę Polaka. Pojechaliśmy również na ulicę Wileńską 40 (obecnie: ul. Pierwomori), a także do Lasu Zamkowego. Na ulicy Wileńskiej wstąpiliśmy do sąsiedniego domu, by



Dom przy ul. Moprauskaja 19 (przed wojną ul. Karcyzna 5), Wołkowysk 1999 r.



Ja (po prawej) z Iwanem Baszkiriewem na tle fragmentu domu przy ul. Wileńskiej 40, Wołkowysk 1999 r.

odwiedzić mojego kolegę szkolnego, Władka Gabrowskiego. Okazało się, że trafiliśmy na Żenię Gabrowskiego, 28-letniego wnuka Władka, który się ucieszył ze spotkania z nami. Żenia powiedział, że dziadek Władek już nie żyje, a on odziedziczył po nim ten stary dom wraz z dużym ogrodem. Dom nie nadaje się już do zamieszkania, a stanowi obecnie „daczę”, czyli dom letniskowy. A najciekawsze było to, że Żenia mieszka wraz z żoną i córką przy ulicy Wileńskiej 40, w naszym przedwojennym mieszkaniu. Sprawilo mi wielką przyjemność, gdy mogłem wejść do tego mieszkania po siedemdziesięciu sześciu latach, jakie upłynęły od daty naszej deportacji. Jednak Żenia zajmował tylko część naszego mieszkania, gdyż mieszkanie została podzielone na dwa mniejsze lokale i tej drugiej części już nie miałem okazji obejrzeć. Żenia zaprosił nas na wieczór do swojej dachy, gdzie spędziliśmy bardzo przyjemnie czas w ogrodzie przy grillu i rosyjskiej wódce. Rozmawialiśmy po rosyjsku, bo Żenia nie mówił po polsku.

Następnego dnia byliśmy na Szwedzkiej Górze, skąd widać było dokładnie panoramę całego miasta, którego liczba mieszkańców wzrosła ze stanu 17 tysięcy przed wojną do 44 tysięcy obecnie. Złożyliśmy także wizytę w Szkole Średniej, w której językiem nauczania jest język polski. Była to niedziela, ale w Szkole dyżurowała pani wicedyrektor, która nas po szkole oprowadziła i udzieliła wielu informacji. Szkoła mieści się w nowoczesnym obiekcie wybudowanym w 1988 roku, z dotacji rządu polskiego. Byliśmy również na polskim cmentarzu, na którym pochowano uczestników Powstania Styczniowego z roku 1863 i żołnierzy poległych w latach 1919-1920. Cmentarz był zadbany, pochowani powstańcy i żołnierze mieli dobre nagrobki. Wołkowysk ma obecnie liczną polonię. Odwiedziny Wołkowyska po tylu latach było ważnym wydarzeniem w moim życiu.



Na tyłach domu przy ul. Wileńskiej 40, Wołkowysk, 2016 r. – od lewej: mój wnuk Łukasz, Żenia i ja.



Ja, Żenia i mój syn Mariusz, Wołkowysk, 2016 r.



Cieżkie przyżycia związane z deportacją do archangielskiej tajgi i tułaczką przez kraje Bliskiego Wschodu, mimo upływu 80 lat, pozostawiły niezatarty ślad w mojej pamięci.

